Nr. 12. 22. Maja 1860.

Wychodzi we Lwowie w dwóch arkuszach co Wtorek. Prenumerata: z przesyłką pocztową całoroc. 10 zł., półr. 5 zł., kwart. 2½ zł. We Lwowie całoroc. 9 zł., półr. 4½ zł., kwart. 2¼ zł., miesięczn. 75 ct. w.a.

KÓŁKO RODZINNE

Miejscową prenumeratę przyjmuje księgarnia Wilda tudzież inseraty po 8 ct. od wiersza za pierwszorazowe umieszczenie, za następne po 4 ct. z dołączeniem stemplowego po 30 ct. Biuro redakcyi: ulica halicka Nr. 157¼.

ZNAMIONA CZASU W LITERATURZE.

W epokach materyalizmu lub zniewieściałości, kiedy wszystkie węzły moralne wolnieją, nowa okazuje się cnota: pobłażliwość, owa cnota konwencyonalna, cnota salonowa w rękawiczkach paliowych, witająca wszystko i wszystkich z uprzejmym uśmiechem na ustach. Udaje ona miłość chrześciańską, a w rzeczy samej jest obojętnością i skeptycyzmem moralnym. Wymawiając się tem, że świata naprawić nie można, dogadza zdrożnościom, ma słówko łagodne na każdy występek, wytłumaczenie na każdą niegodziwość, nawet na każdą zbrodnię. W wyrokach swoich uwzględnia łaskawie ułomność natury ludzkiej, wrodzony egoizm, skłonności, wychowanie, stosunki. Obłudna ta cnota zapowiada zawsze brak energii i upadek moralny pojedyńczych ludzi, społeczeństw i narodów. Kiedy w sercu zobojętniałem przewrotność już nie wzbudza obruszenia, wtedy prawdziwe cnoty prywatne i publiczne, poświęcenie się dla rodziny, współbraci i kraju przybierają cechę niepraktycznego idealizmu, z którego natrząsa się świat egoizmem przesiąkły.

Ale prawda i cnota nigdy jeszcze nie znikły zupełnie. Śród zbrodniczej przewrotności upadającego Rzymu wyszydzona godność człowieczeńska i prześladowana miłość braterska, choć wykluczone z życia panów świata, znalazły schronienie w sercach uciśnionych, garnęły się do łona religii miłości, kryły się w katakumbach, a w końcu rozbiły Rzym i pokonały bitne narody, które go zawojowały.

Nie owa cnota dwuznaczna, ale silne uderzenie słowa i nieubłagana opinia publiczna wywołały w ostatnich czasach rzeczypospolitej naszej skuteczną reakcyę przeciw szerzącemu się zepsuciu. Szlachetne zabiegi patryotów i poświęcenie się całego obywatelstwa, były odpowiedzią na silne głosy ludzi woli stanowczej.

Gdy po dopełnionej trajedyi naszej głosy te umilkły, gdy po spełnionym kielichu naród w nieszczęściu swojem zapomniał o przyszłości, wtedy znowu wypłynęła owa wygodna cnota pobłażliwości i znowu uśpiła energię narodu. W poczuciu jednak swojej godności budził się naród kilkakrotnie do walki przeciw złemu.

Mamy silną wiarę, że w tej chwili jesteśmy w pochodzie ku dobremu, że drogą, którą idziemy, dalej postępować powinniśmy. Widzimy coraz liczniejszy zastęp ludzi szlachetnych, z całego narodu rekrutujący się, który nie powoduje się względami ubocznemi, którego pozory nie łudzą, który się poczuł do obowiązków swoich obywatelskich, odrzuca neutralną pobłażliwość, i występuje do walki ze złem, gdziekolwiek je znajdzie, czy w instytucyach, czy w stosunkach społecznych lub narodowych.

Wyrok opinii niech będzie bezwzględny; tak być powinno. Wojując jednak bronią tak ostrą, bądźmy przedewszystkiem sumienni w jej używaniu. Dopełnijmy wprzódy wszystkich wymagań sprawiedliwości, nim wydamy wyrok, nim wystąpimy do walki.

Tylko najściślejsza sumienność nadaje powagę wyrokom opinii. Niesumienność, choćby tylko z zbytniego pochodziła uniesienia się, jest straszną przewiną, a złe, które się przez to wyrządza, jest często gorszem od złego, przeciw któremu się walczy. —

Słowo nierozważne czas zatrze, ludzie o niem zapomną; ale w literaturze zostawia ono plamę niezatartą.

ŻYDOWSCY.

KRONIKA RODZINNA

spisana przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy).

Od roku 1849...

Po wielkich rewolucyach społecznych, dokonanych w Europie zachodniej pod koniec XVIII wieku, gdzie wszelkiego rodzaju utopije i ideały zapragnęły wcielenia: nastąpiła reakcya — a przestraszony próżnią pustych idei duch ludzki zwrócił się silnym prądem ku myślom realnym. Wiek XIX, wiek niezliczonych wynalazków technicznych i wielkich robót utilitarnych, jest przedewszystkiem wiekiem realnym. Mimo to wszystko jednak nie możemy go nazywać wiekiem reakcyi. Albowiem wpatrzywszy się głeboko w jego oblicze, widzimy to jawnie, iż pomimo silnego popędu ku realizmowi, pielęgnuje on bardzo starannie wszystkie zdobycze postępującego w wolnomyślnych ideach ludzkiego ducha — a właśnie jego dążność utilitarna jest

najpewniejszą rękojmią, iż którekolwiek z owych idei okażą się ogólnie zacnemi i użytecznemi, te niezawodnie wprowadzi w życie. Postępuje on sobie jak mąż dojrzały, który jest siebie zupełnie świadomym, wie zawsze co robi, a co przedsięweźmie, tego z pewnością dokona. Wiek XIX zostawi po sobie Europę w nowej zupełnie postaci — i będzie jednym z największych wieków w historyi.

Ale ludzie są słabi, i niemasz w nich światła bez cienia. Takiemi są narody,—taką jest ludzkość,— takiemi są wszystkie ogólne i szczegółowe dążności. Jak w towarzystwie Chrystusa musiał się znaleźć słaby Piotr i Judasz zdradziecki; jak na jednem i tem samem drzewie znajdują się zazwyczaj i jeszcze niedojrzałe i już przegniłe owoce: tak także każdemu ogólnemu popędowi ludziego ducha towarzyszą zazwyczaj prądy szczególne, które albo w kształcie wybujałych fantasmagoryi go uprzedzają, albo się za nim wloką w postaci błotnistych strumieni. Ztąd w Europie dzisiejszej, w gruncie rzeczy tylko poważnie realnej, spostrzegamy prąd pewien, który jest brudno-materyalnym. Jest nim wygórowana plutokracya, burmistrzowanie giełd, bałwochwalstwo mamony. Jest to brud społeczeństwa, ohyda ludzkości, żyjąca w błyszczącym kale jej dusza zwierzęca.

Co w Europie, wielkiej i znajdującej się w stanie normalnym, odbyło się normalnie i na wielką skalę: to w Polsce, znajdującej się w stanie wyjątkowym, odbyło i odbywa się w sposób właściwy i na skalę pomniejszą.

Owa wielka rewolucya z końca XVIII wieku odbiła się u nas tylko jak cień: i ten cień zniknął ze sceny publicznej z upadkiem kraju. Żył jednak tajemnie, uduchowiał się, wzrastał do świadomości, przychodził do samopoznania: aż wreszcie, zespoliwszy się z duchem narodowym, wstającym jak Anioł Zmartwychwstania w chórze pieśni cudownych, uczuł się w sobie. Tak prowadził swój czynny żywot dalej: dopóki nie przerwał wiekowych tam i nie zdruzgotał sobą resztek średniowiecznych zabytków społecznych. Dokonawszy tego wielkiego dzieła, które zresztą po innych prowincyach polskich dopiero się teraz odbywa, uległ takiemu samemu losowi, jak jego starszy brat w Europie. Jego dalsze dążenia pozostały na chwilę wstrzymane — a jego miejsce zajęła reakcya. Idealne poetycznego ducha prądy zastąpiły myśli realne. Jak w Europie, tak też i u nas przeważa dzisiaj poważny realizm. Ale jak w Europie, tak samo i u nas realizm ten nie jest reakcyą w ścisłem tego słowa znaczeniu: tylko jest, w części już dokonanem zrealizowaniem tych myśli, które niedawno jeszcze należały do ideałów, a w części dążnością do nabrania potrzebnych sił w celu zrealizowania tego, co jeszcze pozostało ideałem do dziś dnia. Tak należy rozumieć dobę dzisiejszą, bo taką jest: inaczej może ją tylko rozumieć rozpacz albo zła wola.

Jednak jak w Europie, tak u nas, za tą dążnością poważną i zacną, polegającą na zdrowiu serca, na trzeźwości umysłu i wspólnej braterskiej pracy we wszystkich możliwych kierunkach, — wlecze się brudny materyalizm, szydzący z serca, przeczący ducha, hołdujący mamonie, prózen wszelkich miłości i wszelkich boleści, a natomiast wiążący się ściśle z morderczami dobrego ducha. Nie objawia on się jeszcze ani w plutokracyi, która dopiero wyrasta, ani w bankach i giełdach, których jeszcze nie mamy — i zapewne mieć będziemy odmiennemi o wiele od innych europejskich: ale objawia się w pojedyńczych indywiduach, które się z każdym dniem mnożą, zasiewają tę ziemię, i same nurzając się w kale błotnistym, zarazę jego roznoszą pomiędzy braci.

Takie charaktery w szczególności studyować i rysy ich obrazowo przedstawiać — a w ogólności dobitnie wykazywać różnicę pomiędzy dążnością narodowo-realną a materyalno-plutokratyczną: jest, zdaje mi się, nietylko przyzwoitem, ale i obowiązkowem zajęciem dla każdego myślącego człowieka.

W tym celu przypatrzymy się bliżej charakterowi Krzesława.

Krzesław wychowywał się w Wiedniu. Skończywszy rok ośmnasty a zarazem i kursy filozoficzne, stanął na drodze rozstajnej. Miał on przed sobą dwie drogi: politechnikę i prawo. Którą z nich wybrał, rzecz niewiadoma. Jego listy, pisywane do Nowickiego były za nadto enigmatyczne, ażeby z nich można było cokolwiekbądź wyrozumieć. Nowicki był przekonania, że jego wychowanek, obyczajem wielu synów szlacheckich, którzy mają widoki na jakąkolwiek spuściznę, po prostu niczego się nie uczy. Zdaje się jednak, iż tak nie było. Czegoś on się tam uczył — i to z takiem zajęciem, iż go od tej nauki nie odwróciły nawet lata takie, jakiemi były rok czterdziesty szósty i ósmy. W tym ostatnim roku Krzesław nawet nie przyjechał na ferye — a opiekunowi usprawiedliwiał się tem, iż ma bardzo wiele zajęcia. Nareszcie pod koniec roku 1849 wrócił do kraju — i zajechał do Plennej.

Nowicki, jeszcze zawsze dosyć zgryziony wypadkami ostatnich lat, prawię rzetelnie się jego przyjazdem ucieszył. Znalazł on go do niepoznania zmienionym. Z Krzesława zrobił się teraz wprawdzie nie bardzo ładny, ale bardzo przyzwoity młodzieniec. Był dosyć słusznego wzrostu, o wiele jeszcze słuszniejszy od Nowickiego, zbudowany barczysto, muszkularnie i silnie, może nawet cokolwiek niezgrabnie. Twarz miał obdłużną, cery żółtawej i zapadniętą cokolwiek, nos na niej duży, oczy modre zmiennego blasku, a usta wązkie, bardzo spokojne, ale z wybitnym wyrazem ironii. Był jasny blondyn, nosił wąsy niewielkie i bakenbardy ogromne. Ubierał się wedle mody angielskiej. Toaleta taka jest ze wszech miar bardzo wygodną. Albowiem odbija w sobie jakąś elegancyę oryginalną — a dopuszcza obszerność sukien, grube i tanie materye, a nawet bawełnianą bieliznę. Nie ulega przytem tak zmiennej modzie, jak n. p. francuzka, zaczem jest trwała. W całej jego postaci zresztą przebijał się rozmysł i jakaś niby powaga; mówił zazwyczaj pomału

i z flegmą: lecz przytem miewał rozmaite humory, dowcipny, wesoły, melancholiczny, groźny, złośliwy i hipochondryczny.

Kiedy do Nowickiego zajechał, był swobodnym, wesołym i dobrodusznym jak dziecko. W rozmowie nie zdradzał najmniejszego dowcipu, a w zdaniach swoich okazywał się czasem dziwnie płytkim i lekkomyślnym. Nowicki, znawca ludzi dość biegły, przypatrywał mu się z uwagą i sam nie wiedział, co-by miał myśleć. Zdawało mu się prawie niepodobieństwem, ażeby się z tego dowcipnego Krzesia coś takiego zrobiło. Ale to różnie ludziom się zdarza, osobliwie po wielkich miastach. Teatry, bale, kobiety, czegóż to nie zepsują na świecie! Tak myślał Nowicki: ale jeszcze zawsze obserwował Krzesława, ba śledził go nawet za każdym krokiem. Nie trudno mu to było, bo Krzesław siedział przez dni kilka u niego....

Nowicki miał dwie córki i jednego synka. Córkom było na imię Kasia i Marysia a synowi Jasio. Jasio był w szkołach we Lwowie i był jeszcze maleńkim; córeczki były w domu i już prawie dorosły. Kasia była starsza a młodsza Marysia. Obydwie były do siebie dosyć podobne, obydwie nie brzydkie, blondynki o oczach błękitnych, o płci białej i delikatnej i bardzo świeżutkich rumieńcach. Obydwie miały ułożenie prowincyonalne, to znaczy takie, jakie się zwykle spotyka w rodzinach takich, które nie mają dawnych tradycyi a nowożytna cywilizacya jeszcze im się nie dostała w udziale. Zaczem obydwie mówiły galicyjskim językiem, źle po francuzku i źle po niemiecku, źle grały na fortepianie i źle tańcowały: ale z czułością pielęgnowały geranium i hiacynty, umiały rozmaite wiersze na pamięć i czytały z zajęciem polskie romanse, gdzie często bogaty panicz żeni się z ubogą panienką, dlatego że jest poczciwą. Toż czy dlatego, czy już z natury, były one obydwie poczciwe, i były-by zapewne daleko lepiej miały w swych główkach, gdyby były miały innego ojca. Ale jeszcze i tak, poszedszy za mąż stosownie, mogły być wcale niezłemi żonami, bo były ciche i skromne, umiały szyć i haftować, i znały się jakokolwiek na ogrodzie i kuchni. Ta tylko jedna była pomiędzy niemi różnica, iż Kasia była słabowitą cokolwiek a Marysia zdrowa jak jabłko.

Krzesław, bawiąc u Nowickiego, szczególnie był zajęty temi dziewczętami. Bóg nie wie, czego z niemi nie dokazywał. Grał im na fortepianie i śpiewał, tańcował z obydwiema na przemian, grał w ciuciubabkę, w kotkę i myszkę i wszystkie gry takie: zgoła że przez czas jego pobytu w Plennej tamtejszy drewniany dwór szumiał ciągle jak ul i prawie kręcił się w koło. Nowicki dosyć łaskawem okiem na to spoglądał, sam się śmiał do rozpuku i mówił: — Ej! toż-to ci nasi panicze bywają puści, jak wicher w polu.

Jakoż dopiero po czterech dniach przystąpił Krzesław do swego opiekuna i rzekł mu: — No, panie ojcze, trzebaby nam do Grodowisk pojechać. — Nowicki odpowiedział mu na to z wyrzutem:— Przecież sobie Pan przypomniałeś nareszcie! — I zaraz rano pojechali obadwa.

Nowicki, obserwujący Krzesława z wielką bacznością, był już przekonany natenczas, że z niego zrobił się pędziwiater zwyczajny, nieroztropny i lekkomyślny, jak wielu. Ale jak był niezmiernie niedowierzający z natury, tak jadąc z nim do Grodowisk, powiedział sobie na drodze: — Tutaj dopiero go poznam gruntownie. — Tymczasem przyjechawszy tam, Krzesław przeszedł jeszcze jego najgorsze orzekiwanie. Zamiast przypatrywać się wszystkiemu z jak największą uwagą, ciągle był zamyślony i roztargniony: przebiegał obory i stajnie jakby był ślepym, o wołach rozumiał że to są krowy, o koniach że to źrebięta, a na owce ledwie że rzucił okiem i o ich liczbę zapytał. Gorzelnię i browar oglądał niby-to dosyć uważnie, wypytywał się, dlaczego to oboje nie jest jak zwykle wypuszczonem w dzierżawę, a nawet spytał, czy można-by gorzelnię jeszcze wypuścić albo pędzić na siebie. Ale wszystkie te pytania rzucał tak prędko i zawsze tak był czemś innem zajęty, że choć mu Nowicki opowiadał ze szczegółami, że gorzelnia i browar jest w zupełnym porządku i obydwie te fabryki mogą być użyte jeszcze w tym roku, jednakże bardzo wątpił, ażali go Krzesław rozumiał. Natomiast zaś, kiedy przyszło do oglądania pałacu, lustrował go po wszystkich kątach, oglądał piece, okna, posadzki, oglądał nawet i ogród, i rzekł potem z dziecinną radością:— Doskonały-to dom, ogród przepyszny; można tu mieszkać nawet z Wiednia wróciwszy, i byle go troszeczkę odświeżyć, będzie to bardzo przyzwoite mieszkanie.— Pojechali nareszcie do pomniejszych folwarków; ale ledwie jeden zwiedzili, Krzesław już się unudził i rzekł: — Ot! wiesz pan co, dajmy temu pokój a wróćmy lepiej do Plennej. — Usłyszawszy te słowa Nowicki, popatrzył na niego z pod oka i pomyślał sobie w duchu: — Tego mi właśnie potrzeba! Tamten jest za granicą i nie powróci; a z takim dudkiem nie trudną będę miał sprawę.

Jakoż gdy Krzesław powrócił do Plennej, zajął się znowu tak samo jego córkami jak przedtem. I znowu cały dwór szumiał jak ul i kręcił się w koło...

Natenczas Nowicki, wziąwszy wszystkie szczegóły swojej dziewięcio-letniej opieki na pilną rozwagę, przyszedł do przekonania, iż niemasz stosowniejszej i lepszej pory do pozbycia się tego ciężaru, jak teraz. Jakoż postanowił zrzucić ją z siebie — a gdyby Krzesław sam tego nie zapragnął, naprowadzić go na to. Wyrachował sobie bowiem Nowicki, iż interes ten, doprowadzony teraz do skutku, musi się stać koniecznie dla niego korzystnym: bo na Grodowiskach bez pańszczyzny już mu nic nie mogło zależeć; gdyby tę opiekę jeszcze zatrzymał, to już nie na długo, bo Krzesławowi brakowało do pełnoletności tylko półtora roku — a przecież zawsze lepiej mieć do czynienia z małoletnim, niż z wieloletnim lub z sądem. Ułożył sobie tedy plan cały, podług którego wedle jego mniemania musiało pójść wszystko najlepiej...

*

I tak to poszło istotnie. Wprawdzie z Krzesławem nie łatwe było porozumienie, bo dziwnie był roztrzepanym: ale zawsze łatwa sprawa, bo pragnął wieloletności i posiadania Grodowisk, jakby tego każdy na jego miejscu zapragnął. Toż kiedy mu nareszcie Nowicki wytłumaczył, o co to chodzi, on tylko zawołał z radością:

— Ach! panie Nowicki! oddaj mi pan Grodowiska koniecznie. Ja sobie tam pałac odnowię, umebluję się, wyekwipuję się, ożenię się — a tak może się przecież jakoś nasze interesa poprawią.

— To, to, to! — mówił Nowicki, — ożenić się panu, koniecznie się ożenić a dobrze. Nie wiele wziąć, ale gotówką, bo to rzecz główna. Nie wiele też panu potrzeba, bo na Grodowiskach przecież już długów nie ma do zbytku...

— Jakżeż tam hipoteka nasza? — pytał w roztargnieniu Krzesław.

— Ani się pan spodziewasz! — rzekł z tryumfem Nowicki, — dwadzieścia tysięcy Towarzystwa i dziesięć tysięcy niegdyś pana Fabiana; a zresztą ani groszyka. A przecie Grodowiska warte i bez pańszczyzny.... przynajmniej.... tak mi się zdaje.... że ze sto tysięcy.

— Doprawdy? warte to tyle? — zawołał Krzesław i patrzał na Nowickiego z uwagą.

— Ja niewiem..... teraz dobra nie mają ceny..... ale tak mi się zdaje.

— Dwadzieścia tysięcy Towarzystwa i dziesięć tysięcy niegdyś pana Fabiana, — powtarzał Krzesław, przechadzając się w zamyśleniu po pokoju, — dlaczego niegdyś?

— Cha, cha, cha! — śmiał się Nowicki, — a czyż-to pan nie wiesz? Przecież panu o tem pisałem. Ja wypłaciłem tę sumę z mojej kieszeni.

— Pan? och! — zawołał Krzesław z czułością, jak mi Bóg miły, tak o tem nic nie wiedziałem, chociaż powinien'em się był tego domyśleć, bo przecież pan Fabian wytoczył nam był proces jeszcze przed czterma laty.

Poczem zaczął coś mrugać do panien do drugiego pokoju i wybiegł tam zaraz, grał, śpiewał, tańcował — i nie było go blizko godziny. Za godzinę dopiero powrócił i rzekł prędko do Nowickiego:

— No, więc tak, pan mi Grodowiska oddajesz, ja się mebluję, ekwipuję, żenię.... i tak dalej. Ale proszę pana czy nie można-by zarazem znieść mojej małoletności? Jako małoletni, cóż ja tam pocznę? czy jest co w kasie pieniędzy?

— Coś jest, ale niewiele.

— No, widzi pan. Z czem-że tu się brać do gospodarstwa? Małoletniemu nikt nie pożyczy ani grosza, chyba pan? co? —

— Wieloletność, — rzekł na to Nowicki, omijając to ostatnie pytanie, — można-by dla pana z łatwością uzyskać, zależy ona prawie głównie odemnie. Ale.... widzi pan, panie Krzesławie.... to jest rzecz sumienia. Czy pan jeszcze nie jesteś za młody?

— Ale fe, panie Nowicki! — ej! cóż tam? czyż mi pan tego nie zrobisz? Ja wiem, że ja się panu jeszcze lekkomyślnym wydaję, ale jak pana kocham, ja będę dobrze gospodarował. Przecież święci garnków nie lepią: a zresztą będę miał pana zawsze w sąsiedztwie, czyż mi pan będziesz odmawiał swej rady? —

— No, zapewne. Gospodarstwo nie wielka-to rzecz. Ale jest jeszcze i inna kwestya. Co panu po pełnoletności teraz, kiedy pan interesów ze mną nie skończysz i tak, chyba aż za rok albo i później. Bo przecież muszę panu złożyć rachunki: a to niemała jest praca. Ja mam je wprawdzie w jaknajwiększym porządku; ale przez te zamieszki i rewolucye nie odbierał ich sąd odemnie przez całe trzy lata: więc nim się to wszystko poprzepisuje, nim się podołącza kwity, pokończy rachunki z gromadami, dzierzawcami, propinatorami i tak dalej, nie mało się trzeba będzie napocić.

— Rachunki? — rzekł Krzesław, — a na co to tych rachunków, przecież ja panu wierzę.

— Cha, cha, cha! — śmiał się znowu Nowicki, ja wiem, że mi pan wierzysz, ale rachunki muszą być złożone przed sądem koniecznie.

— A przecież zdaje mi się, — rzekł Krzesław, jeżeli ja wieloletność uzyskam, to pan będziesz miał do czynienia nie z sądem lecz ze mną. A ja niemiał-bym też roboty, jak słuchać pana rachunków! W kasie nie ma pieniędzy, a pan mi chcesz zdawać rachunki! A po kata mi takich rachunków!

— Zapewne.... można-by się obejść i bez rachunków. No, ale widzi pan.... rzeczy te muszą być zawsze w jakimś porządku. W takim razie musisz mi pan dać zakwitowanie, żem te rachunki złożył istotnie i że pan niemasz do mnie żadnej pretensyi.

— Ale dam, dam, co pan sam zechcesz! Czy miał-bym też sumienie żądać od pana jakich rachunków! Żywiłeś nas obudwóch przez tyle lat, pospłacałeś cokolwiek długów, oddajesz mi Grodowiska.... Boże mój! czyż tu trza jeszcze rachunków? —

— Hm! nie ma wątpienia. Bóg mi jest świadkiem, żem robił dla panów co było można. No, ale jeszcze jest jedna kwestya.

— Cóż tam takiego?

— A co będzie z panem Dobiesławem? —

— A.... zająknał się Krzesław i zrobiwszy minę arcy-naiwną, rzekł, — a ja nie wiem.

— No, — rzekł na to z uśmiechem opiekun, — na dowód, jak pana kocham, poradzę panu i na to. Pan mi dasz zakwitowanie w swojem i Dobiesława imieniu, i na tem koniec.

— No, to dobrze, — zawołał prędko Krzesław, — daj-że mi pan prędko papieru i pióra, abym to zaraz napisał: a jutro pojedziemy do sądu. Nowicki znowu się śmiał do rozpuku:

— Ale to nie teraz, nie teraz, bo przecież pan jeszcze jesteś małoletnim.

— A.... prawda. No, więc jak przyznanie wieloletności uzyskam: ale jutro jedziemy. Bo przecież nie

mogę wiekować w Plennej: ja-bym się tu obałamucił do reszty.....

To rzekłszy, wybiegł natychmiast do panien. A Nowicki, nakładając sobie lulkę i zasiadając w krześle wygodnem, rzekł do siebie z uśmiechem: — Jakiego diabła ten człowiek uczył się w Wiedniu, tego ja nie wiem.

Ale nie było żadnego dobrego ducha przy nim, który-by mu powiedział: — Ej! strzeż się, Galicyaninie! bo masz do czynienia z Europejczykiem, a to naród dziwnie jest sztuczny i niebezpieczny. —

Nazajutrz pojechali obadwa do sądu i zaraz podali o wieloletność. Po zrobieniu podania Nowicki odjechał do domu, a Krzesław się został. Usprawiedliwiał się tem, że zastał tu wiele znajomych i chciał-by był z nimi zabawić; korzystał też z tej sposobności i odebrał od Nowickiego pozostające w kasie Grodowiskiej pieniądze. Bawił się w mieście przez dni kilkanaście i bawił się tak dobrze, iż na drodze prostej uzyskał zaraz uznanie wieloletności i wyrok przeznaczony dla siebie schował w zanadrze — a na nieprostej uzyskał to, iż wyrok przeznaczony dla Nowickiego kędyś się między sądem a komornikiem tak zbłąkał, iż się dostał do jego własnej kieszeni. Zaczem przyjechał do Plennej i zaraz zabrawszy opiekuna ze sobą, odebrał z rąk jego rodzicielski majątek w posiadanie fizyczne.

Ukończywszy tę pracę, Nowicki był zadowolony niezmiernie. Miał dobrą wioskę, miał kapitały i rozmaite jeszcze pomiędzy ludźmi zasoby; ze zmianą poddańczych i gospodarskich stosunków, do których żadną miarą nie mógł się zastosować, nie pragnął już niczego więcej, jak żeby mógł żyć w spokoju i odpoczywać po pracy: ale jeszcze do tego srodze mu przeszkadzała ta nieznośna już teraz opieka. Dziś wszakże już i tę przeszkodę przezwyciężył szczęśliwie, i niczego już się nie potrzebował obawiać. Jakoż oddawszy Grodowiska Krzesławowi, zaraz do Tarnowa wyjechał, gdzie miał jeszcze ze swymi dłużnikami niektóre sprawy do załatwienia; wróciwszy ztamtąd, pojechał do Lwowa w takich samych interesach: ale je wszystkie pozałatwiał szczęśliwie, pogodził się jak mógł, poodbierał należytości, i wesół, uśmiechniony, uszczęśliwiony jak nigdy, do Plennej powrócił. Około Bożego Narodzenia był już całkiem uporządkowany w swych interesach i zaczął w spokoju i szczęściu pożywać owoce swej pracy.

Tak też jednego rana siedział sobie spokojnie przy kawie, i czuł się bardzo szczęśliwym. Ubrany był w szlafrok ciepły jakiego jeszcze nigdy niemiał w swem życiu, miał na głowie aksamitną czapeczkę z kutasem, o jakiej od dawna już marzył a jeszcze dotąd nigdy na jej kupienie się nie odważył, i palił lulkę z takiego bursztynu, o który się przez czternaście dni targował we Lwowie i z ciężkiem płacił za niego westchnieniem. Córeczki mu przygrywały na fortepianie — a on się do nich uśmiechał, bawił się dymkiem niebieskim i marzył sobie słodziuchno. Lecz o czem marzył? Oto o tym lekkomyślnym Krzesławie. Nie widział on go od dawna, ale już coś o nim zasłyszał. Szaleniec ten wypuścił propinacyę na lat sześć i zabrał pieniądze z góry. Oczywiście wypuścił za bezcen. Prócz tego sprzedał od razu pięćdziesiąt morgów co najlepszego lasu: oczywiście że sprzedał za bezcen. A co z temi pieniędzmi zrobił? Puścił gorzelnię i browar na własną rękę i sto wołów postawił na stajni. Nowicki się śmiał do rozpuku. W tych czasach, takiemu frycowi, brać się do takich przedsiębiorstw szalonych! Cha, cha, cha! Obaczymy my, obaczymy. Podobno za jakie trzy lata inny już dziedzic będzie na Grodowiskach.....

A kiedy tak sobie marzy, on najszczęśliwszy o sąsiada nieszczęściu, pokazał mu się woźny u drzwi.

— Jak się masz, panie Grządzielski! A co mi am przynosisz dobrego? Pewnie uznanie wieloletności pana Krzesława? no pokaż-no pokaż.

Zbliżył się woźny i położył przed nim ogromny fascykuł papierów, ale tak ogromny, że Nowicki aż zawołał: — A to co? — Spojrzał nań bystrem swem okiem, odczytał nadpis, — i jak był pułap wysoki u niego, tak aż pod sam pułap wyskoczył.

Był to pozew Krzesława o zdanie rachunków z dziewięcio-letniej administracyi Grodowisk; pozew jakiś potworny, opatrzony przynajmniej setką allegatów. Kiedy Nowicki spadł od pułapu na powrót na ziemię, w której-to podróży i owa aksamitna czapeczka spadła mu z głowy i bursztyn, ten piękny, potłukł się w drobne kawałki; rzucił się zaraz jak wściekły na woźnego, porwał go obydwiema rękami za barki i zawrzeszczał mu w twarz: — A gdzie jest addykcya wieloletności? Gdzie.... jest.... addykcya.... wielo.... le.... tno... ści!... wołał Nowicki, trzęsąc woźnym jak próżnym workiem. Woźny już umarł ze strachu: — Ja nie wiem. — Poczekaj! wołał zasapany Nowicki, odskakując od niego, — ja was nauczę! ja wam pokażę.... Zaczem siadł w krześle tak twardo, że aż wszystkie nóżki się odezwały, i sapiąc mocno jak miech, zaczął przeglądać pozew. Przy tym przeglądzie co moment to włos burzył na głowie, to się pięścią uderzał w czoło, to pluł przed siebie: W imię ojca i syna! — A potem mówił: — To szlachcic? to taki szlachcic? frant, hultaj, szubiennik... I mruczał coś sobie pod nosem, miełąc ustawicznie ustami. — Przez ten czas woźny stał ciągle przy drzwiach, oddychał po tym okrutnym przestrachu, a odetchnąwszy, pokłonił mu się i rzekł: — Proszę Jegomości o *viales*. — Co! — krzyknął Nowicki, — *viales!* poczekaj.... A to mówiąc, porwał go za kark i wyjechał na nim za drzwi tak gładko, jak jeszcze na żadnym koniu nie jeździł. Tymczasem córeczki, które się dotychczas tylko przemocą powstrzymywały od śmiechu, zaczęły głośno chichotać: a kiedy słyszały wracającego ojca, zaczęły grać na fortepianie, aby śmiech zagłuszyć. I grały dalej — a on chodził po izbie jak opętany. Zerwał się wreszcie, uchwycił cybuch leżący na ziemi i rzucił się z nim na córki. Oczywiście że je w oka mgnieniu wypłoszył. Tak został się sam — i tak już sam siedział w pokoju, nie dopuszczając nikogo do siebie przez dwa dni. Co robił, nikt o tem nie wiedział; uważano tylko, że przez

te dwa dni prawie nic nie jadł i nie spał, świecił po całych nocach i czytał, codzień po dwa razy kazał sobie zajeżdżać i codzień po dwa razy wyprzęgać. Nabrał nareszcie odwagi, powziął myśl jakąś jenialną i dnia trzeciego rano do Grodowisk pojechał.

Odszukawszy w Grodowiskach Krzesława, znalazł go nie w pałacu, ale w gorzelni. Nowy dziedzic Grodowiskiego państwa ubrany był w krótki kożuszek barani, wielkie buty juchtowe i czapeczkę z futerkiem. Odbierał sam gorzałkę podług wagi i miary — i zaraz ją chłopom sprzedawał, którzy całą tę izbę zalegli, odmierzając jednemu dwa garnce, drugiemu garniec, trzeciemu kwartę a pacholęciu kwaterkę. Obaczywszy Nowickiego, rzucił na niego okiem z pod brwi nastroszonych i rzekł jakby z niechcenia: — Jak się pan masz, panie Nowicki! nie spodziewałem się widzieć pana u siebie. — Ale sobie tem swojej roboty nie przerywał bynajmniej, tylko szynkował dalej, odbierając pieniądze i oglądając każdy półgroszek z uwagą.

Obaczywszy to Nowicki, ugrzązł w tłumie chłopów jak czółno w błocie, i tak zakamieniał na chwilę. Otworzył oczy, otworzył usta, i patrzał na Krzesława, jak gdyby na dziwowisko: a w tem zapatrzeniu się, tak się głęboko zamyślił, że aż zapewne zapomniał, gdzie się znajduje, bo po chwili pięścią uderzył się w czoło i zawołał: — Oj! ty stary ośle! a gdzie-żeś ty miał oczy? — Na te słowa jakiś sędziwy wieśniak tuż przed nim stojący, obejrzał się na niego i rzekł: A wam panie Nowicki jeszcze się jak widzę śnią dawne czasy, kiedyście nas zdzierali lichwą ze skóry, a który się nie wypłacił, zamykali do turmy. Godziło-by się wam przecie pamiętać, że te czasy już przeminęły a teraz uczciwemu gospodarzowi ani łajać nie można... Usłyszawszy Nowicki wspomnienie o lichwie, zatrząsł się jakby w febrze i syknął na starca jak gad, któryby chciał ukąsić a nie może.

Tymczasem Krzesław skończył swoje szynkarskie zajęcie i rzekł do Nowickiego: — Pan masz zapewne do mnie jakiś interes....

— He, he, he! — zaśmiał się dawny opiekun, — wolne żarty pańskie....

— No, to proszę ze sobą, — rzekł sucho Krzesław i sam idąc naprzód, pociągnął go za sobą po wschodkach do gorzelnianej izby, która się znajdowała na piętrze.

Nowickiemu się zdawało, że wszystko tu jeszcze zależy od pierwszego impetu, jakoż rzucił się zaraz z załamanemi rękami na Krzesława, wołając:

— Panie Krzesławie! a cóż to się stało! w jakieżto ręce ohydne popadłeś! jakiż-to pisarz pokątny panu taką zbrodniczą dał radę! Czy pan wiesz przynajmniej, co tam jest popisano w tym pozwie? —

Ale Krzesław się odsunął od niego i rzekł takim głosem, jakby kto drwa rąbał tępym toporem:

— Krótko i węzłowato, panie Nowicki: bo ja nie mam czasu. Więc najpierw': żaden pisarz pokątny mi rady nie dawał, żaden adwokat tego pozwu nie pisał, tylko ja sam, ja sam, jak mnie pan widzisz. Powtóre: czego pan chcesz? Jeżeli pogadanki, to przepraszam; jeżeli układów, to słucham.

Nikt nie opisze tego wzroku, jakim na niego spojrzał Nowicki. Jakoż po chwili dopiero przekrzywił twarz, spojrzał na niego z pogardą i rzekł: — A kochany, serdeczny, roztrzepany i niby głupi! — splunął i odszedł. Krzesław się rozśmiał. Ale Nowicki się nie śmiał. Zebrawszy wszystkie swe siły, jeszcze raz zaczął moralną perorę: mówił niezmiernie zawile, wspominał jego przezacnych przodków i świętą matkę, katechizm i ewanielię, miłość bliźniego i obowiązki wdzięczności. Co wszakże prędko znudziło Krzesława, jakoż go porwał raźnie za rękę i rzekł wskazując na ścianę:

— Patrz pan, oto jest mur. Mów pan dalej do tego muru, a ja tymczasem zbiegnę do gorzelni; wróciwszy, odpowiem panu tak samo, jak gdybym tego wszystkiego wysłuchał.

To rzekłszy, już chciał wychodzić. Ale Nowicki go porwał za połę:

— Zaczekaj pan. Będę mówił inaczej.

I wtedy dopiero zaczęła się walka....

Niejednokrotnie zdarza się słyszeć dziś skargi na brak waleczności pomiędzy ludźmi. Ja tego nie widzę. Ludzie są tak samo waleczni dzisiaj jak zawsze: tylko walczą pomiędzy sobą o co innego. Dawniej walczono o ziemię, o siedziby rodzinne, o honor, o cześć, o sławę, o wiarę: dziś walczą ludzie o chleb — o pieniądze. Widzieć nawet te walki z bliska, ile tam jest szalonej odwagi, ile wytrwałości, cierpliwości, zaciętości, chciwości. Kto wie, ażali-by nie trza powiedzieć, że ludzie dziś walczą daleko zawzięciej niż kiedykolwiek. Tak walczył Krzesław z Nowickim. Dziwna-to była walka....

Stanęli obadwa na przeciw siebie na środku izby. Krzesław przycisnął lewy łokieć do boku a prawą rękę zgiął tylko i miał ją swobodną jakby do cięcia. Nią też dźgał przeciw swemu opiekunowi, a za każdem wyciągnięciem ręki uderzał, nie ręką, ale bronią daleko straszliwszą, bo słowem. Tak rzucił mu w twarz wycięcie lasów, stawienie tartaków bez wiedzy sądu, dzierżawienie propinacyi, gorzelni, browaru, za bezcen; frymarczenie pańszczyzną, wywożenie paszy do Plennej, wykradanie nawozów, zakupywanie długów niżej wartości, pofałszowanie kwitów nareszcie. I jechał tak na nim aż do samego kąta. Rzucił się na ten ostatni argument Nowicki i przybrawszy taką samą pozę jak Krzesław, przejechał się znowu na nim w kąt przeciwległy. I Bóg wie, wiele razy tak przekrzyżowali izbę na wzdłuż i na poprzek, na wskos, na lewo, na prawo i w koło: dość, że tak niezmordowanie walczących zastał ich wieczór. W wieczór przenieśli się do pałacu podobno dla posilenia się jakąś przekąską. Ale ani pomyślał z nich żaden o takiej marności. Orzeźwieni świeżem powietrzem, zaczęli walkę na nowo. Piękne tam miejsce było do takiej bitwy: takie obszerne salony! A lubo we wszystkich razem tylko jedna gorzała łojówka, nic im to nie szkodziło: tacy nowożytni rycerze nie potrzebują światła, ich broń trafi i po ciem-

ku. Jakoż bili się mężnie aż późno w noc. O północy Nowicki się zmęczył, opuściły go siły, upadł bezwładny na krzesło, lecz upadając powiedział: — Do jutra! Jakoż nazajutrz dopiero prawdziwa zaczęła się walka; dzień wczorajszy to tylko był wstęp. Cały ten dzień bowiem zeszedł im tylko na wyrozumieniu szczegółowych pretensyi: o głównej ich treści jeszcze ani mowy nie było. Nazajutrz dopiero wyszła na jaw ich treść. Usłyszawszy ją, Nowicki padł jak długi na ziemię, zerwał się znowu, wyrwał dwie garście włosów z swej głowy, rzucił się wreszcie na krzesło i zapłakał jak dziecko. Krzesław zażądał od niego czterdzieści tysięcy guldenów! — Trzeba było więcej godziny, zanim Nowicki przyszedł do przytomności. Zaczęli znowu z lekka się ścierać ze sobą; Nowicki dziwne finty wymyślał, mówił coś o jednej z swych córek, o znacznym posagu, o większych jeszcze zapisach, wspomniał nareszcie o kupnie Grodowisk, za które-by suto zapłacił: ale Krzesław ani sobie dał mówić o tem: — Nic a nic, tylko gotówka. Wiele pan dasz? — Ileż pan żądasz? — Słuchaj pan, mówił Krzesław znów takim drewnianym głosem, — ja pana dusić nie chcę, targować się nie lubię, dasz mi więc trzydzieści tysięcy i kwita z wszystkiego. —

Nowicki spojrzał na niego i zaśmiał się tylko boleśnie a może i trochę radośnie, bo mu się zdawało, że kto opuszcza od razu dziesięć tysięcy, ten jeszcze wiele opuści. Tymczasem Krzesław naglił:

— Wiele pan dasz? — Nowicki długo się dusił, kręcił się, jęczał, aż nareszcie wyjęczał:

— Dam panu pięć tysięcy i kwita. — Piekielnym śmiechem, tak że aż wszystkie ściany zadrzały, zaśmiał się na to Krzesław i zawołał:

— Bądź zdrów, panie Nowicki! już zaprzężono dla pana! — I wybiegł z komnaty. Nowicki siedział spokojnie, jedną godzinę i drugą i trzecią: a Krzesława nie było. Bardzo go to niecierpliwiło, ale postanowił sobie poczekać. I wygrał w tem: Krzesław był młodszy. Jakoż istotnie przybiegł nareszcie.

— No cóż pan tam wymyśliłeś? — Nowicki zaczął mówić długo i kędzierzawo, pochlebnie i z umizgami, i skończył wreszcie:

— Ażeby pana ochronić od wstydu takiego, jaki panu ten brzydki proces przeciw opiekunowi przyniesie, dam sześć tysięcy i kwita. — Śmiej się pan z tego, — rzekł Krzesław, — ja się wstydu nie boję a pan dasz więcej. — Nie dam. — Ej! dasz! — Słuchaj pan, — rzekł z energią Nowicki, — niech mnie siarczyste pioruny.... niech to i owo, że nie dam więcej. Bierz to, bo nie dam nic. — Nic, a! to znów inna kwestya, — rzekł z uśmiechem Krzesław, — a ja ci powiadam, że dasz daleko więcej. — Nie dam. — Ej dasz! — Jak mi Bóg miły, tak niedam. — A ja ci mówię, że dasz! — zawowołał niecierpliwie młodzieniec i wybiegł do dalszych komnat. Ale w ten moment powrócił i trzymając jakiś papier otwarty, jakiś kwit ile się zdaje, tuż przed Nowickiego oczyma, zawołał groźnie: — A to co, panie Nowicki! Dasz teraz, czy nie? — Obaczywszy ten papier Nowicki, w pierwszym momencie tak okrągło oczy wytrzeszczył, jak dwa staroświeckie zegarki, w drugim zbladł jak umarły, a w trzecim runął jak długi na ziemię. Teraz zdawało się, że już zemdlał istotnie. Ale Krzesław pochylił się nad nim i tylko ten jakiś papier fatalny potrzymał mu przed oczyma: a to go otrzeźwiło w ten moment.

Wtedy się zerwał ze ziemi, ale tylko na klęczki. I tak na klęczkach objął kolana Krzesława i łkał i płakał, zalewając się łzami. Odsunął się Krzesław od niego, a on wlókł się za jego nogami, tarzał się po ziemi, wyrywał całemi garściami włosy z najeżonej czupryny, tłukł głową o dębową posadzkę, jak potępieniec, wołając przytem: — Krzesławie! miej litość nademną! zabij a nie męcz! o mój Krzesławie! — Wstań-no, wstań, mój Nowicki, mówił spokojnie Krzesław i podniósł go z ziemi: — No, wiele dasz? — Ach! co ci nie dam! — wołał z lamentem Nowicki, — wszystko ci dam.... duszę ci dam.... krew moją ci dam.... ostatni grosz wysączę dla ciebie! — Ale ile na liczbę? mów wyraźnie. — Ach! dam! ja dam.... no, cóż już mam robić? dam ci siedm tysięcy! — Nie trudno sobie wyobrazić, jak to przyjął Krzesław. Wszystka krew w nim się ścięła, zbladł, zsiniał, zzieleniał, zacisnął pięść i z tą pięścią do swego przeciwnika przyskoczył, jak wściekły; ale tylko zawołał: — Poczekaj!... I runął zaraz z komnaty. Nowicki wyleciał za nim, padł przed nim na kolana w przedsieni i wniósł go prawie na rękach do sali. Wtedy zaczęła się walka zawzięta na nowo. Już tylko odpornie walczył Nowicki, ale rzecz pewna, że i w obronie Troi tak nie walczono. Nim sto guldenów postąpił, zjajał się jakby ubiegł dwie mile; nim tysiąc postąpił, pot ciekł mu z twarzy kroplami. Północ już była: a on dopiero dawał dwanaście tysięcy. A po północy ci waleczni rycerze udali się na spoczynek. Nazajutrz rano walka się rozpoczęła na nowo. Z odświeżonemi siłami świeża przybyła waleczność. Jakoż jeszcze do południa walczyli ze sobą. Dopiero w samo południe zmienili cokolwiek broń. Już się za ręce ściskali, całowali się, przyciskali się wzajemnie do piersi Nareszcie przecież stanęli obadwaj razem na dwudziestu tysiącach — i obyczajem rycerskim, ręce sobie podali. Tak się skończyła ta wielka bitwa trzechdniowa, jakiej podobnej napróżno szukać-by w dziejach: lecz za to ileż podobnych, ileż jeszcze zaciętszych i krwawszych toczy się dzisiaj codziennie! I nikt na nie nie zwraca uwagi, natury ich nie docieka, pamięci ich nie zapisuje w historyę; tylko oko badacza je widzi, wzdryga się na ich widok i mówi: — Widziałem lwy i tygrysy walczące z sobą o kawał mięsa, hyenę małego dławiącą szakala o kości trupie, gady olbrzymie tłumiące się z sobą o tułów maleńkiej ptaszyny: ale ci ludzie w walkach o chleb i złoto są lwami lwów i tygrysami tygrysów.

Jednak na tem nie koniec. Albowiem Krzesław, zgodziwszy się na summę, założył jeszcze warunki wypłaty w następujących słowach:

— Dwadzieścia tysięcy wypłacisz mi pan gotówką dziś, albo nigdy. Dziesięć tysięcy, które pan masz

na Grodowiskach, pozostają przy gruncie: lecz zaraz jutro wytoczysz mi o nie proces, wystawisz Grodowiska na licytacyę i sprzedasz.

Długo się jeszcze targował Nowicki o te szczegóły, bo już Krzesławowi nie ufał, a wcale nie mógł zrozumieć, na co mu ta sprzedaż Grodowisk potrzebna; ale zrozumiał nareszcie i po pieniądze do domu pojechał. Za dwie godziny powrócił, wypłacił, zakwitowanie odebrał i wszystko to załatwił dosyć spokojnie. Zaczem się pożegnali, pięknie i grzecznie, jak przyzwoitym ludziom przystało...... (*D. c. n.*)

NOWY POEMAT WINCENTEGO POLA.

Umieszczając w pismie naszem po raz pierwszy ustęp z niedrukowanego dotąd poematu Wincentego Pola pod nazwą: „Hetmańskie pacholę", winniśmy tak dla objaśnienia tego nowego utworu i wprowadzenia czytelników w ustęp, który przytaczamy, jakoteż, aby wypowiedzieć przy tej sposobności zdanie nasze o artystycznym stanowisku poety, winniśmy, mówię, rzucić słów kilka, które nam się zdawały potrzebne, przy wprowadzeniu od niedawna nowych form w dziedzinę poezyi.

Wiek szesnasty nietylko na polu piśmiennictwa uzyskał nazwę wieku złotego. Ma on dla nas w dziejach cywilizacyi rodzimej ważne znaczenie, o którem tu, o ile literatury pięknej dotyczy, krótką wzmiankę uczynimy. Wiek ten przyniósł nam pierwsze pomniki dziejowe i tradycyjne takie, iż w nich od razu widzimy narodową indywidualność ustaloną, wzrosłą w silny obyczaj rodzimy, samoistną i odrębną życiem domowem i publicznem tak dalece, iż już w owych czasach widać, że wieki pracowały nad jej wyrobieniem, i że zagłada tejże lub przetworzenie, podjęte w biegu czasów przez siły i żywioły zewnętrzne, okazały się daremną pracą Syzyfa. Tylko społeczność w tworzeniu się, której żywioły nie ułożyły się jeszcze w pewien ustrój, nie przeniknęły się duchem jednym miłości i potrzeby tworzenia z sobą jednostki silnej; która niedoszła jeszcze do wiadomości siebie, niestała się narodem; tylko taka społeczność mogłaby zapomnąć i utracić znamię swojskie, rodzime, (którego istotnie w całości swej nigdy nie miała), i przywdziać obce. Gdzie zaś świadomość o sobie przez wieki dojrzewała, a wspólne dzieje po tylekroć krwią wspólną okupione, osobną indywidualność wydały; tam chęć rozbicia i przetworzenia owego, że tak rzekę, duchowego gmachu społecznego — narodowości — jest nierozumem — jest owym kamieniem Syzyfa, zawsze staczającym się na dół po wytoczeniu na górę. Owoż późniejsze epoki życia narodowego budowały dalej ten gmach niezłomny narodowej indywidualności, czerpiąc do tego zasoby w duchu własnym, w dziejach, w tradycyi i w obyczaju wieków upłynionych. Mimo chylące się w końcu ku upadkowi instytucye, nie wystarczające już czasowym potrzebom; mimo klęski i burze podsycane siłami i wpływami obcemi, budowla stała i stoi. Co było czasowem, przechodniem, zmieniło się; ale istota, owa pełna świadomość narodu o sobie, jako o indywidualności osobnej samoistnej — nie zmieniła się nigdy.

W owych to epokach indywidualność narodu, czyli jak ją pospolicie zowiemy, narodowość wyrażała się także pewnemi zewnętrznemi znakami, kształtami, postaciami, formą cywilizacyi swego czasu, kierunkiem woli i uczuć, obyczajem, zwyczajem — i tysiącem owych odcieni, których ogół, mniej więcej istotnie, składa zewnętrzny objaw ducha narodowego w danym czasie. Na zewnątrz owe znonamia wybitniej może wyrażały się, niżeli dziś; bo dla dzisiejszej cywilizacyi wyższej, uduchownionej i te znamiona złagodziły ostrość zarysów, same niejako uduchowniły się; a uduchowniły się jeszcze i tem, że dziś życie narodowości naszej, jak i wszędzie, bardziej w gorącem uczuciu i samoistnej woli narodowej skupiło się, niżeli w kształtach i odrębnościach zewnętrznych, zmysłowych. Lecz obaczmy, jakie miejsce zajmują w sztuce te narodowe kształty, postacie i znamiona.

Szyler powiedział: „co ma w pieśni odżyć, w rzeczywistości zniknąć musi". Jakoż stosując to do rzeczy naszej, jeżeli każdy czas, każda epoka życia narodowego ma swoje znamiona, które ją od innych narodów wyosobniają; toć owe kształty, postacie i formy cywilizacyi dawnej, jedne ustępywały nowym, drugie zaś, co bliżej były natury ludzkiej, przylgnęły niejako do indywidualności narodowej, pozostały, i dziś w niej odzywają się i odzywać będą. Pierwsze odsunięte od nas przestrzenią czasu i epokami życia politycznego, przybierają w sztuce, a w szczególności w poezyi, barwę i zarysy poetyczne, a oświetlone miłością rzeczy ojczystych, która na każdą epokę bytu narodowego z równą czcią patrzy, postacie te i kształty, prócz interesu dla treści, budzą jeszcze interes osobny dla znamion i cech narodowych; interes naturalnie bliższy, niż postacie i kształty ogólno-ludzkie, zdjęte z wzorów nieśmiertelnych starożytności, lecz bez cechy naszej. Tym należy cześć ogólna, która jednak nie wyłącza czci szczególnej dla tego, co w dziedzinie piękna nie tylko jest ludzkiem, lecz oraz i narodowem, polskiem. Drugie zaś formy cywilizacyi, które w nowszej poezyi spotykamy, są te, co już z indywidualnością narodu, że tak powiem, zrosły się; co nie przemijają, jak pierwsze, lecz trwają. Są one już z tego względu poetyczne, że zdają się należeć do idei narodu, i w miłości narodowej, jakby w świetle bengalskiem, nabrały poetycznej barwy i wyższego znaczenia. Radzibyśmy, o ile miejsce pozwala objaśnić to przykładem, zostawiając obszerniejszą o tem rzecz późniejszemu czasowi. — T. Lenartowicz, według nas kreśli szczególnie indywidualność narodową według tej drugiej formy; według tych znamion, które juz są nieoddzielne od narodu już z nim zrosły się. W jego pieniach dziewica, gdy się śmieje, lub płacze, lub bawi, jest dziewicą polską; rolnik, gdy pracuje i modli się, jest oraczem polskiej ziemi; dziecię, gdy się bawi, lub mówi, jest dziecięciem polskiem; żołnierz — jest żołnierzem chorągwi polskiej. A wszędzie wiara, miłość i nadzieja jest wyjęta z ust polskich i z serca polskiego. Te piosnki i obrazki, przetłumaczone na inny język, będą tylko kwiatki zerwane, przestaną mieć woń świeżości, zbledną — bo nie będą już chować w sobie tej

całej serdecznej prawdy, tego ducha i kształtu rodzinnego, co jest znamieniem ich indywidualności, jak jest coś osobnem znamieniem owych roślin alpejskich i kwiatów podzwrotnikowych. — B. Zaleski spiewa przyrodę i uczucia ziomka z Ukrainy. Jestto forma tegoż samego rodzaju, co poprzedzająca. Mamyż zatrzymywać się nad pieniami, których prawda i rzewność są zawsze roskoszą serc naszych? Niemasz tam nuty, ni tonu, ni głosu, którychby nie niósł wiatr stepowy na swych skrzydłach; niemasz miłości, ni tęschnoty, ni nadziei, którejby rosa stepowa nie skropiła swemi łzami, nieozdobiła swemi perłami. — Na temże tle, ale pod niebem chmurnem i groźnem snują się postacie Zamku Kaniowskiego. Takich indywidualności, takich postaci nie widać nigdzie, tylko tam. — Jakież znowu uczucia i sceny sąsiedzkie, rodzinne, odywatelskie w panu Tadeuszu! Z niedalekiej przeszłości, a już zeszły i do reszty schodzą z widnokręgu, i ustępują miejsca nowym kształtom cywilizacyi. Jakież i jak odmienne od dzisiejszych spotykamy postacie w Mohorcie, w Winnickim, w Stryjence, w Zgodzie senatorskiej, i w Hetmańskiem pacholęciu; jakiż to świat inny! jaki koloryt obyczajowy! jaka barwa i postać rodzinna, swojska, w charakterach, w obyczaju — nawet w słowie. Zdaje się że odsłonioną widzisz ową część życia narodowego, którą przeżyli ojcowie dawni; że w tej ułudzie poetycznej oddychasz powietrzem, którem oni oddychali: że przyroda ówczesna służy im za tło i ramy, i że ówczesne słońce nad nimi świeci. Są to owe pierwej wymienione formy cywilizacyi i indywidualności narodowej, które innym ustąpiły. O nich to da się powiedzieć, co Józef Kremer w ogólności o formach dawniejszej sztuki powiedział: — „z jednej strony niepodobna wrócić nam do onej młodzieńczej praojców fantazyi; z drugiej strony czujemy, że to dzieło tchnie naszym duchem, że jest krwią i kością, ze krwi i kości naszej“. Dziś, w tej dali czasów okryły się one pełnym urokiem poezyi, miłym dla tych, którzy dla rzeczy ojczystych w każdym czasie mają otwarte synowskie serce. O powstaniu tej to formy nowej w poezyi, dla której wzorca żywego już dziś nie masz pośród nas, o złożeniu tego obrazu przeszłości obyczajowej z pomników i tradycyi, trafne jest wyrażenie Michała Grabowskiego: „Dzieje się to, mówi on, sprawą dochowanej tradycyi, lub jasnowidzenia geniuszu, często jednego i drugiego społem: bo płaski rozum i nietalent wierzytelną nawet tradycyą wykrzywią“. Jakoż, niestety, bywały rozumy płaskie, które w gnieździe swojem nie widziały innego materyału dla poezyi, prócz kału i błota.

„Hetmańskie pacholę“ jest poemat złożony z rapsodów, jak niżej przytoczony. Każdy z nich jest osobnym obrazem osób, okoliczności, czynów ówczesnych, charakterów, obyczaju — słowem, jest to niby kronika obyczajowa swego czasu, a zarazem poemat, którego pojedyncze sceny, zdarzenia, obrazy, czyny zlewają się w jedną całość, a całość tę przenika jeden duch: indywidualności rodzimej i obyczaju narodowego. Jako widome ognisko, około którego krążą te narodowe wizerunki i konstellacye uważany być może hetman Jan Tarnowski za czasów Zygmunta starego Zygmunta Augusta. Dwór hetmana, jego wyprawy, zdarzenia krajowe, domowe, gościnne i rodzinne dostarczają treści do całego obrazu, formą zaś jego jest dyariusz. Pisze go Walenty Różanka, owe pacholę hetmańskie, który wychował się na dworze hetmana, i na schyłku żywota spisuje wypadki, na które patrzał lub których zasiągnął z podania. Jedną z postaci tego poematu jest Maruszka Zaleski, *»roxolanus gente«*, rycerz swego wieku znakomity. Był on towarzyszem młodych lat hetmana, towarzyszem jego pielgrzymki do ziemi świętej, uczęstnikiem błogosławieństwa Ojca świętego w Rzymie, danego rycerzom polskim, idącym z Janem z Tarnowa na ostatnią wyprawę krzyżową przeciw Maurom. Maruszka był świadkiem i towarzyszem wszelkiego procederu hetmańskiego, począwszy od Orszy, aż do ostatniej potrzeby tatarskiej za panowania Zygmunta Augusta, na której Walenty Różanka pod bokiem hetmana Tarnowskiego walczył. Pan Maruszka uczył Różankę spraw rycerskich; bo to był swego czasu rycerz najtwardszy, szermierz najzdolniejszy, znający się tak dobrze na rzemiośle rycerskiem jak i na harcie stali, przewodząc kuźni płatnerzy. O nim to mówi hetman:

Nikt się tak nie znał już na harcie stali
Jak pan Maruszka — więc w płatnerskiej kuźni
Gdzie byli ludzie i dobrzy i różni
On wszystkich uczy i sam młotem wali:
A kiedy hartu siódmego dobierze,
To pancerniki i wszyscy płatnerze
I sam pan Hetman i wszyscy rycerze
Aż się wydziwić staleniu nie mogą;
I broń, choć nowa, ceni się już drogo.
Żalił się na to, że mu bardzo z laty
Ręka cięższe; otóż coraz cięższe —
Otóż urabiał tak ważne bułaty,
Że im już chłopy nie radzą najtęższe.
A pan Maruszka gdy wagę poczuje
Mówi, że siła dopiero się bierze;
I że dopiero ręka się prostuje,
I jak Bóg kazał chodzi w samej mierze!

Mawiał, że sprawa rycerza ozdabia;
Więc rzęd i zbroja — a kto czem narabia
Znać się powinien, z rzemiosła i sądu
I z „*nakorynku*,“ jak mawiał, i z rządu,
Na tem, co dobre, i na tem, co zdatne,
I co rycerstwu na wszem jest popłatne!
To też pan Hetman mawiał żartobliwie:
„Maruszkę tylko staw przy końskiej grzywie!
I byczą skórę daj mu z dziś na jutro,
I szynę stali, i chłopa bez sęka;
A już tam oni do doby ci utrą
Konia i chłopa; a i rząd obszyją,
I dadzą pancerz, i szablę z Maryją —
Tak tam szczęśliwa i sposobna ręka!“ —

Gdy się Maruszka dowiedział, że Hetman już na śmiertelnej pościeli w Wiewiórce, nie chciał go już więcej widzieć. Hetman w ostatnich chwilach żywota przeznaczył był Walentego Różankę na przyszłego marszałka dworu pani Hetmanowej, pod której okiem tenże chował się razem z synem hetmańskim. Rzecz w następnym rapsodzie opisana odnosi się do chwili, kiedy po śmierci Hetmana,

Jana z Tarnowa, w Wiewiórce przy zwłokach jego odbywały się nabożeństwa żałobne przez trzy miesiące, zanim cała Polska ściągnęła się dla oddania ostatniej przysługi hetmanowi, którego zwłoki złożono we farze Tarnowskiej na wieczny spoczynek. Walenty Różanka przybywa do Tarnowa jako marszałek wdowy hetmańskiej do pustego zamku, w którym tylko pozostał pan Maruszka. Tym rapsodem ustępuje już ze sceny poematu Maruszka Zaleski, jedna z głównych postaci; ztąd też widzimy tu wyższą grę uczucia, niż autor sobie w poemacie dozwala, gdzie wszystkie postacie, ruchy i uczucia idą pod poważny strychulec Zygmuntowskich wieków.

Zwyczaj rozpuszczania sokołów po śmierci rycerzy, hetmanów i królów był obyczajem wieku. Nazwy sokołów są hiszpańskie, gdzie wówczas pod Maurami stało sokolnictwo najwyżej.

RAPSOD Z „PACHOLĘCIA HETMAŃSKIEGO“

przez Wincentego Pola.

„Jako pan Maruszka Zaleski tużył po śmierci Hetmana.“

Z Wiewiórki biegłem przodem do Tarnowa,
Gdzie miała przybyć pani Hetmanowa;
Bo przyszło w końcu jeszcze tego dożyć,
By głowę pana w zimnym grobie złożyć. —
Jadę na zamek, wrotny z płaczem wita,
A serce tylko o Maruszkę pyta:
„Cóż pan Maruszka?“
„Źle Wielmożny panie!
Pono nie na tem jeszcze u nas stanie;
Pono za głową pójdzie wszystka sprawa;
Bo pan Maruszka folgę żalom dawa.
We dnie w piwnicy siedzi, albo w kuźni;
A nocą gwiżdże i w krużgankach bluźni.
Aż zmarniał wszystek, aż pożal się Boże!
Odkąd pan skończył, nie przyległ na łoże!“—

Wjeżdżam w dziedziniec — było to o ranku —
A pan Maruszka chodzi po krużganku
I po swojemu w zamku gospodyni.
Gdzieś i teorban dobył z starej skrzyni,
I w szumki, dumki, aż sklepienia jęczą,
Aż ludzie stają, że aż szyby brzęczą
Huka i gwiżdże, zawodzi i spiewa,
Że aż się sokół na berle podrywa.

Znałem ja wprawdzie od dawna te rzeczy
Że takie serce nie lada co leczy. —
Boć to był człowiek wcale ukrainny:
Porządny w sprawie—aleź w żalu czynny!
Co rok go bowiem napadał żal taki,
Kiedy już z cieplic powracały ptaki,
Kiedy pług pierwszy zarznął wiosną rolę,
Takie się w sercu wznawiały tam bole,
Że go nie ujrzysz na mszy, ni przy stole
Jedno koń, sokół i szumka i w pole.....
I kamień w wodę — aż gdzieś w tydzień w kuźni
Kuje, jak szatan, i po rusku bluźni.

Więc zrozumiałem, że to nie przelewki,
Kiedym usłyszał hukania i spiewki.
Póki żył Hetman, mawiał na ostudę:
„Maj staryj hluzdy! bude toho! bude!“
I pan Maruszka wracał do porządku;
Ale jak pana — brakło i rozsądku.

Idę w krużganki, witam porucznika,
A on mi tylko przygwizduje z dzika:
„Hdeś zadiw bat'ka? czort wam z tou robotou!“ —
Mówię mu pełnym słodkości wyrazem:
„Mój poruczniku, pomódlmy się razem“.
A on mi na to: „A czort wam mołyty!
Jak Tatar najde, a kto bude byty!“ —
Ja mu do kolan: „Ej duszko! Maruszko!
Toż ja twe dziecię, toż ja twoim służką!

Ciężko zapłakał, i już się wyżalił —
Lecz ledwo Boga westchnieniem pochwalił
Obszedł hetmańskie komnaty do koła,
I gdy na błoniu ujrzał powrót stada,
I klacz hetmańską przed stadem od czoła,
Znowu zahukał — i tak mi powiada:
„Hej długo, długo będzie tutaj głucho!
Trąba bojowa nie obudzi ucho!
W psiarni zaległą krymskie charty pole,
I w świat poleci hetmańskie sokole.
Jedno wiatr chyba dziedzińcem przebieży
Lub na gołębnik jastrzębiec uderzy......“
I znów zapłakał, i ścisnął mi głowę:
„Mnie tu już nie żyć! mnie już czas w dąbrowę!
Każ mi dać konia, a sam podaj zbroję!
Jadę hetmanie! jadę, jadę, jadę!
I coś zdał na mnie, to ja Bogu kładę;
I kończę, panie, gospodarstwo moje. —
Chodź chłopcze ze mną — pan prożen mozoły,
A więc na wolność puścimy sokoły;
Bo jak Maruszka i sokół się prosi;
A komu trzeba niechaj go unosi —
Nie stało orła! — więc co po sokole?

I jakby wszystko stanęło na niczem,
Gwizdnął w krużgankach hasłem sokolniczem:
„Hej Kubuś, Kubuś! hej! Aldabon w pole!
Na cztery wiatry i na ziemie krajne
I na pohybel, na drogi rozstajne!“ —
I zdjął z każdego dłużec i kapturek,
Pogłaskał w drogę, przeniósł po pod sienią
I puszczał wolno mieniąc po imieniu.

I wzleciał Kubuś, Idalgo i Nurek
Wzleciał Ewora, Alkasar, Pampano
(Których to niegdyś po Maurach zabrano.)
Tylko Aldabon siedział zasępiony,
Choć od lat wielu nie był już strojony
Nigdy w kapturek, bo już przyślepł trochę.
I pierś miał nagą, a i szyję nagą,
Boć przez lat wiele bił z wielką odwagą.
Więc od starości wielkiej się wypierzył
I gdy na dłużec brano ptaszę płoche,
On sam na berle spokojnie się dzierżył,
I chyba tylko kiedy chód Hetmana
Lub głos Maruszki doleciał go z rana,
Wachlował skrzydły, prężył się, i jeżył,
A potem znowu drzemał przez dzień cały,
Iż ledwo wierzyć, że ptak onej chwały! —

Bujno odlatał każdy sokoł młody,
Aż pan Maruszka w końcu już przystąpił
Do Aldabona —
„Nie nam do swobody!
Nie stało drogi, a wieku nie skąpił
Bóg dla nas obu. Przypomnij, sokole,
Hetmańskie służby! — hej, Aldabon, w pole!
Pieczętuj ptaku, tak, jakoś nam pisał!“

I stare ptaszę tak już rozkołysał,
Że i Aldabon w górę jeszcze strzelił
Tak go ostatni pogwizd rozweselił!

A pan Maruszka: „Hej, hde nasza sława!“
I huknął znowu: „Ha! skończona sprawa!“
I na sokoły, co siedziały jeszcze
Rzekł: „Z temi trzema w polu się popieszczę.
Bo trzy sokoły, trzech ludzi, trzy konie
Puści ktoś z światem i po moim zgonie.
Owo skończone już władarstwo moje!“ —

I siadł w krużganku — a jam wyniósł zbroję.
Kiedym ją opiął, całuję kolano
A on mi rzecze: „A czy to tak rano?
Daj mi gorzałki, i napij się ze mną;
Bo ciężko w sercu i przed duszą ciemno...“

Podałem, wypił — wypiłem i ścisnał
I precz odsunął, gdym na nim zawisnął.
Gdy siadł na konia, poprawił się w siodle:
„Służyłem Bogu i Polsce niepodle!
Tam w dzikich polach są mogiły święte —
Wracam do swoich, *Roxolanus gente!*
I już ni słowa — i ani łzy w oku...

Kiedym w dziedziniec szedł przy jego boku
Wziął trzy sokoły, trzech ludzi, trzy konie,
I zkąd był rodem, ruszył ku tej stronie.
Kiedy odjeżdżał rzekł tylko do nieba:
„A czej sia najdem de komu potreba!“
Cały dwór wyszedł za bramę daleko;
Nikt nie rzekł słowa, choć wszystkim łzy cieką —
Każdy zrozumiał rzecz dobrze u siebie,
I wracał smutno, jakby po pogrzebie. —

Stała figura przy zamku w pobliżu;
Patrzę — a stary sokół siadł na krzyżu.
Wachluje skrzydły i patrzy za drogą
Okręca głową, i jeży się srogo.
Zdawna mówiono, że Aldabon ślepy;
A on tak długo rwał się całą siłą,
Jakby z Maruszką chciał odlecieć w stepy,
Póki na drodze tuman widać było.
Aż kiedy znikli — osowiał i zdrzymał...
I przez dni dziewięć na krzyżu się trzymał,
Że nie wiedziano, czy skostniał, czy żyje
Nikt go zdjąć nie śmiał, i ręce niczyje
Nieśmiały podać sokolowi jadła
I wszystkich dziwna trwoga tak opadła,
Że omijali figurę z sokołem. —
Aż gdy z pogrzebu wracaliśmy społem,
Patrzę — a sokoł na krzyżu nie siedział.
Lecz gdzie się podział, nikt o tem nie wiedział....

Pamiątki Trębowelskie

przez

Augusta Bielowskiego.

(Ciąg dalszy.)

Zwykle hetman mający sobie powierzoną straż granic uwiadamiał mieszkańców przez uniwersały o zbliżaniu się nieprzyjacielskiem, ostrzegając iżby się mieli na baczności, i do zamków i miejsc obronnych garnęli. Szły też rozkazy od króla do komendantów wszelkich miast i twierdz, do burmistrzów i obywatelów miejskich żeby przysparzać co prędzej municyi i żywności i gotować się do obrony. Uniwersały takie i wici rozsyłano po urzędach grodzkich i ziemskich, czytano i obwoływano przy sądach, targach, po miastach i parafiach, aby jak najprędzej przyszły do wiadomości wszystkich. W skutek tego ludność chroniła się do zamków, obierała z pomiędzy siebie komendanta i stanowiła pewien porządek. Z kilku takich rozporządzeń miejscowych trębowelskich które mam przed sobą, daję tu dosłownie uchwałę z roku 1672 którą szlachta okoliczna i obywatele miasta Trębowli w zamku zawarłszy się, między sobą postanowili. Uchwały takie zwykle podobne są do siebie co do formy która z dawnych czasów pochodzi; treść nawet powtarza się w wielu z nich dosłownie, i tylko ustępy niektóre dodawano nowo, wypuszczano, lub zmieniano je i modyfikowano stosownie do okoliczności.

My niżej podpisani, rycerstwo i obywatele powiatu trębowelskiego, podczas teraźniejszej tureckiej i kozaków z ordą w ojczyznę korony polskiej inkursyej zawarłszy się w zamku jego królewskiej mości trębowelskim, takowy sobie porządek stanowimy. Iż wszelkie konwokacye i konsulty bez dyrektora odprawować się nie mogą, jegomość pana Hieronima Kawieckiego, łowczego ziemie halickiej, tej fortecy za komendanta jednogłośnie obrawszy jurysdykcyej onego w tem, co do powszechnego dobra tej fortecy przynależy i przynależyć będzie, cale się poddajemy; to wszakże sobie zastrzegamy, żeby zasiągając zdania naszego we wszystkiem z nami się znosił; którylo jegomość pan komendant wszystkich osób obojej płci, osobno stan rycerski i z czeladzią, osobno mieszczan i sielańskich ludzi do starostwa trębowelskiego należących, osobno żydów domowych, osobno gościnnych, osobno także z różnych siół różnych panów tak obecnych jako też nie będących poddanych rejestr spisać jako najprędzej rozkaże, żeby się wiedzieć mogło wiele tu ludzi do obrony być może; i ktokolwiek się tu zamknie, żeby miał strzelbę, ołów, proch, żywność na dwadzieścia niedziel. Przestrzegając tego żeby luźnych niepotrzebnych ludzi w tej fortecy nie było, jegomość pan komendant z ramienia swego pewnych godnej wiary ludzi dozorców swoich, do tego naznaczyć, a którybykolwiek obojej płci bez wiadomości jegomość pana komendanta ważył się wejść do tej

*

fortecy, tak ten przychodzień, jakoteż ta osoba która go przechowa karze dowolnej ichmość panów sędziów niżej napisanych podpadnie, a to na doniesienie czyjekolwiek. Więc i szlachta zasanocka wszystka nikogo nie wyjmując pod tąż jurysdykcyę jegomość pana komendanta naszego podpadać i do wszelakiego posłuszeństwa zarównie z nami podczas tego zawarcia naszego należyć będą powinni. Klucze przy jegomości panu komendancie zawsze być mają bez którego wiadomości bramy i furty nikt się nie będzie ważył otwierać, pod karami ustanowionemi na tych którzy bezpieczeństwo publiczne narażają. Rotmistrzów, strażników, puszkarzów do dział, i strzelców do hakownic, w różne okna rozsadzonych, obierać, i wszelki porządek czynić dajemy moc jegomść panu komendantowi, któremu jeśliby który z nas co do spólnej obrady, do schadzki i do powinności przynależytej nie był posłuszny, na zażalenie jegomość pana komendanta do sądu instygatorskiego przypozwany będąc, winę czternaście grzywien zapłacić powinien będzie.

Na strażniki, puszkarze, prochy, ołowie, municye, i na różne wydatki, i rozchody wszelakie do fortec potrzebne, co nie stanie z czopowego powiatu naszego trębowelskiego, tedy za spólną zgodą obmyślić, i co będzie przynależało, wszyscy się do tego przyłożyć zarównie z jegomością panem komendantem *præcavendo* gwoli ocalenia siebie i twierdzy tej powinni będziemy.

Komory iż też bardzo gęsto w zamku są pobudowane, przestrzegać będą panowie tych komor, żeby po wybijaniu hasła ognie wszędy wygaszone były, i hałasy żadne albo też poswarki jakie nie wszczynały się, a dla większej przygody ciż panowie komor w śrotfasach i beczkach żeby mieli wodę nalaną, także skóry i płachty, a gdzie słomą nakryte, darniem zaraz nałożyć powinni, pod winą grzywien 14. Dozór dział, hakownic i ogniów, także studniej żeby nie była zepsowana, jegomość pan komendant pewnym ludziom zlecić powinien.

Prochów, ołowiów, saletry, siarki obywatele tutejsi obcym ludziom nie powinni przedawać pod winami o depozytach opisanemi.

Jako na każdem miejscu pokój i bezpieczeństwo pospolite ma być zachowane, tak pogotowiu w tej fortecy zostającym także do miasta przyjeżdżającym, w mieście będącym i odjeżdżającym wszelkim osobom jakiegokolwiek stanu i kondycyi aby najścislej zachowane było toż bezpieczeństwo na wszelki wypadek sobie warujemy, przeciwko któremu ktobykolwiek wykroczył, o wszelkie wiolencye jako też i insze wszelkie pretensye, sądy sobie jako podczas pospolitego ruszenia stanowimy i sędziami, z powodu niebytności jegomść pana wojskiego trębowelskiego, pomienionego jegomość pana komendanta naszego, i jegomość pana Jemielitę a za pisarza jegomść pana Jana Łazańskiego regenta grodzkiego trębowelskiego jednostajnemi głosy do tych sądów obrawszy, cale się im poddajemy. Dekreta ichmość w każdej sprawie podczas zawarcia naszego w tej fortecy ferowane, przyjmować i onym dosyć czynić submittujemy się.

Tego też przestrzegać mają ichmość panowie sądowi nasi zwyż mianowani, żeby trunki i wszelakie wiktualia słuszną ceną przedawane były.

Który porządek zgodnie i jednostajnie namówiony trzymać i we wszystkim kondycye jego wypełnić powinniśmy. A dla lepszej wagi i pewności tę naszę dobrowolnie namówioną uchwałę rękami naszemi podpisujemy, i aktami niniejszemi grodzkiemi trębowelskiemi roborujemy. Działo się w Trębowlej na zamku dnia 7 miesiąca sierpnia roku pańskiego 1672. Hieronim Kawiecki, łowczy halicki. Adam Ludzicki z Ludzicka. Jan Jemielity. Franciszek Strzałkowski. Jakób Poklękowski. Stanisław Łysoskórski. Stanisław Łacki. Floryan Żychowski. Wojciech Brzeski. Jan Kozłowski. Jan Włodkowski. Marcin Gorażdowski. Wojciech Gorażdowski. Stanisław Przyborowski. Stanisław Zaklika. Jan Łazański regent grodzki trębowelski swoim i jegomość pana Janczowskiego pisać nieumiejącego jako przyjaciel podpisuję się. Zygmunt Miedzechowski. Jan Pepłowski imieniem jegomość pana Tomasza Korzeniowskiego pisać nie umiejącego podpisuję się jako przyjaciel proszony. Andrzej Laskowski. Stanisław Michałowski. Krzysztof Złobocki. Stanisław Bielicki Kośmider.

Prócz osób które uchwałę tę podpisały, znajdowało się w zamku wiele innych, nie tylko z gminu ale i stanu wyższego, mianowicie: Grzegorz Buszkowski podstarości prowentowy trębowelski, Andrzej Kiełczowski, Piotr Kazimierz Wrzoskowski, Bazyli Podhorodyński, Andrzej Biernacki, Jan Grochowski, Andrzej Tarkowski, Marcin Głowacki, Bazyli Nowosielski, nakoniec Andrzej Mościcki przeor Karmelitów, który jakeśmy to widzieli, przybył dopiero w pięć dni po podpisaniu tej uchwały, z sześcią swoimi towarzyszami do zamku.

Dalsze przygody tak opowiada nasz trębowelski zakonnik.

W sobotę przed niedzielą 9tą po ś. Trójcy. Tu żal się Boże Kamieniec poddał się, czyto z fakcyej jakiej? czy też mocą Turczyn wziął? tego nie wiemy; pan Bóg sędzia.

W samą niedzielę 12stą po ś. Trójcy Turcy podpadli pierwszy raz pod zamek i kilku zabili ludzi w mieście; ale z łaski Bożej nic nie wskórali, bo i naszy w nich większą szkodę uczynili.

Na drugi dzień Kapłan basza z wojskiem tureckiem, tatarskiem i Multany i Wołoszą i Kozakami na polach naszych stanął, i nocował idąc do Lwowa. Wtenczas kościół, klasztor, cegielnia, folwark itd., i w mieście siła domów i słodowni popalili, i wielkę dewastacyę uczynili, i zboża w polu, w gumnie zdeptali i spaśli i w niwecz obrócili. Ale się zamek nie poddał.

(D. n.)

PISMA CZASOWE POLSKIE.

Biblioteka warszawska poświęca pamięci Feliksa Bernatowicza naczelną rozprawę zeszytu kwietniowego za r. b. Jestto praca p. Kajetana Kotowskiego pod napisem: „O życiu i pismach autora Pojaty". Wiadomość tę o życiu i pracach poprzedza p. K. Kotowski wstępnemi uwagami o znaczeniu powieści, zwłaszcza historycznej w literaturze i o różnicy między jej dzisiejszem a niegdejszem stanowiskiem. Podczas gdy „przed laty jeszcze dwudziestu kilku romans z dziejów lub obyczajów narodowych wysnuty, był nowem i nieledwie znakomitem zjawiskiem w literaturze naszej — stał on się dziś formą najpospolitszą i najdostępniejszą każdemu, komukolwiek podoba się doświadczać sił swoich w zawodzie pisarskim".

Tą drogą poszły literatury obce, a za nią i nasza. Dzisiejsze odznaczające się imiona powieściopisarzy zaćmiły imiona dawnych. Jednakże mieli ci dawni wielką zasługę obok zalet mniej lub więcej przez krytykę uznanych, zalet estetycznych. Tę zasługę podnosimy osobliwie nie wdając się w sprawozdaniu naszem w szczegóły biograficzne i bibliograficzne, które czynią pracę p. K. Kotowskiego zajmującą do czytania i ważną jako materyał do historyi literatury. — Zasługa o której mówić chcemy jest wspólna Bernatowiczowi z Niemcewiczem, że stworzyli powieść *narodową* tak pod względem treści jak i formy. Treść bywała zaczerpniętą z dziejów, materyał zbierany z pamiętników, podań lub archiwów familijnych naprowadzał już na drogę odmienną od naśladowania obcych form. Bernatowicz pracował tak sumiennie nad swemi powieściami historycznemi, że podróże odbywał do miejsc, w których się odbywało działanie jego powieści. Oni to (a do tych zalicza p. Kotowski jeszcze Wężyka, Fr. Skarbka, ks. Wirtemberską, Kl. Tańskę i p. Jaraczewskę) „jednocześnie i prawie wspólną siłą z wieszczami Litwy i Ukrainy, wzięli się do odbudowania ojczystej literatury".

Popęd do tego odbudowania życia narodowego przynajmniej na niwie literatury pochodził wówczas z dwóch ważnych ognisk. Jednem był dwór inteligencyjny, który tylko jeszcze generał ziem podolskich utrzymywać umiał w Puławach i Sieniawie, dokąd zebrał część rozbitków zburzonej ojczyzny, i gdzie utworzył niejako praktyczną szkołę dla młodszego pokolenia literatów. Drugiem takiem ogniskiem była szkoła Krzemieniecka, która obudziła wtedy nowe życie w narodzie i sięga aż w nasze czasy przeważnym wpływem swoim. Z obudwu tych ognisk czerpał wraz z wieloma innymi Bernatowicz ducha narodowego. Tak też nim był przejęty, że po ciosie zadanym sprawie narodowej w r. 1830 w kilka lat skończył jak Kniaźnin. P. K. Kotowski znajduje w całem usposobieniu i życiu tych dwóch pisarzy wielkie podobieństwo. Długo nosił cierpienie w duszy, żył pośród swoich samotnie, w ojczyźnie jak tułacz. Słowa jego własne wyrażają ten stan duszy: „o! w grze życia tyle się już straciło, że jest zaczem spo rzeć z westchnieniem." „Smutne nastrojenie duszy czekało tylko okazyi, pisze p. K. K., aby udertemınować się w chorobę. Taka okazya łatwo się też nastręczyła..." W r. 1835 dostał pomięszania. W r. 1836 umarł.

Po tem smutnem wspomnieniu następuje dalszy ciąg Kobiety Z. Kaczkowskiego. Zdajemy o tem sprawę razem ze sprawozdaniem o dalszym ciągu zawartym w zeszycie majowym Bibl. Warsz.

Układy zapolskie w r. 1582. Pod tym tytułem podaje p. Leopold Hubert „dopełnienie szczegółów wiadomych dotąd z historyi" podług dokładnego dyaryusza Haraburdy, pisarza królewskiego, jednego z posłów polskich wyznaczonych do traktowania. Dyaryusz ten znaleziony w Metryce litewskiej spisany jest w języku staroruskim. Poznajemy z tego aktu że ówczesne układy prawie się nie różniły niczem od dzisiejszych dyplomatycznych kongresów, tylko że inne potęgi odgrywały wówczas rolę, którą dziś utraciły. Stolica apostolska pośredniczyła między Polską a Moskwą o ustąpienie Inflant, którego polscy posłowie osiągnęli pomimo wielu matactw przeciwnej strony.

Sprawozdanie z dzieła *„La légende des siécles par Victor Hugo"*, zawiera, jako najciekawszą dla nas, śmiesznie zmyśloną legendę o Jagielle, której treść podaliśmy dawniej. Tego samego dzieła krytykę mieści B. Warsz. pod rubryką kroniki literackiej. — O ptakach drapieżnych w królestwie Polskiem i Wiadomości z nauk (rozprawa z geometryi analitycznej), sąto artykuły wielce zajmujące dla ludzi fachowych.

Przegląd literatury angielskiej i kronika paryska zawiera ciekawe wiadomości o nowościach literackich.

Rozbiór Poezyi Włodzimierza Wolskiego przez Kaź. Kaszewskiego przyznaje autorowi znamienity talent obok zaniedbania we wszystkiem co nazywamy techniką poezyi, budowie, języku i t. d.

„Ocenny pogląd na dzieło: Przegląd form gramatycznych języka staropolskiego wydane we Lwowie w r. 1857 p. F. Żochowskiego.

Korespondencya zawiera „Zdanie sprawy w przedmiocie zadań przez c. k. Towarzystwo Naukowe Krakowskie do nagrody ogłoszonych."

Pierwsze zadanie: Skreślić Florę północnej strony Tatrów rozwiązał p. Feliks Berdau i otrzymał nagrodę. Na drugie: „Wykazać w sposób dla każdego dostępny zasady, prawa i przepisy o spadkach, testamentach i darowiznach w Austryi, Rosyi, Prusach, królestwie Polskiem i b. wolnem mieście Krakowie, i na czwarte: Wykazać cechy właściwe sztukom pięknym w dawnej Polsce w zakresie architektury, malarstwa i rzeźby, nie nadesłał nikt rozwiązania. Rozwiązanie trzeciego z kolei zadania: Skreślić historyczny wywód przyczyn i skutków przeniesienia stolicy z Krakowa do Warszawy nadesłano, lecz to nie zostało uwieńczone. Więc na te trzy zadania rozpisano konkurs nowy.—

Przechodząc do zeszytu tejże Bibl. Warsz. za miesiąc Maj spotykamy na czele sprawę historyczną pana Karola Sosnowskiego pod n. Jan Huniad. Cóż nas obchodzi węgierski wojewoda, który był synem chłopa wołoskiego a ojcem króla węgierskiego. Zapewne piękna to i ciekawa postać jednak na pierwsze wejrzenie nasuwa się pytanie dlaczego mielibyśmy się nim tak szczególnie zajmować.

Obchodzi nas jednakże bardziej niż którykolwiek ustęp z dziejów Węgier. Byłato ostatnia chwila zjednoczenia

obudwu narodów wjedno potężne mocarstwo. Ustęp ten z dziejów spólnych Węgier i Polski zawiera opis pierwszej, szczęśliwej jeszcze, wyprawy Władysława Warneńczyka przeciwko Turkom. W tej wyprawie okazali się obadwa bohaterami: Władysław i Huniad. Zarzuca historyk królowi „brak wytrwałości zwyczajny charakterowi polskiemu“ przez co opuścił sposobność „zniszczenia potęgi sułtańskiej.“ Jeżeli charakter polski był winien tego błędu to go drogo przypłacił, bo nietylko utratą bohaterskiego króla w następnej wyprawie ale i zerwaniem jedności politycznej obudwu narodów, co może było pierwszym zarodem upadku obudwu. Ta wojna uświetniła także Skinder Beja bohaterskiego oswobodziciela Albanii, który dzieckiem wzięty w niewolę i zturczony dochował tajemnie patryotycznych uczuć, aż póki w męzkim wieku nie nastręczyła się sposobność do okazania ich czynami.

Tłumaczenie kilku scen z dramatu Wiktora Hugo pod t. Burggrafowie przez K. Kaszewskiego, zdaje się być początkiem nowej drogi na jaką krytyk warszawski wstępuje. Czas byśmy zaczęli tłumaczyć wszystkie znakomite dzieła obcych literatur, bo na tem zyska więcej i literatura nasza i język, niż na tej powodzi słabych oryginałów francuzkich i niemieckich, która zalewa nasze życie narodowe.

Jerzy Niemierzyc podkom. kijowski, starosta owrucki i krzemieniecki. Przyczynek do historyi panowania Jana Kazimierza p. J. Łukaszewicza. Jestto dokumentami poparta monografia o jednym z tych „odszczepieńców, który sprzysiągłszy się z wrogami na zgubę własnej ojczyzny, służył im ręką i głową, spodziewając się za ich pomocą nasycić własną dumę, wyniesieniem się na najwyższe godności w kraju.“ Jerzy Niemierzyc, zaczął dobrze. Wychowaniec szkoły socyniańskiej w Rakowie, zwiedziwszy obce kraje pospieszył na odgłos wojny pod chorągiew Koniecpolskiego przeciwko Tatarom i Turkom. Walczył pod tegoż Koniecpolskiego rozkazami przeciw Szwedom za Zygmunta III. Ale w r. 1657 przeszedł na stronę Karola Gustawa i Rakoczego, najeżdżających Polskę, wzywał Jana Zamojskiego do poddania Zamościa, Warszawian do poddania Warszawy; odstąpił Rakoczego gdy ten musiał wrócić do Siedmiogrodu by bronić swego kraju przeciw Polakom, i odstąpił Socynianów gdy tychże sejm w 1658 z kraju wywołał. Wierni swemu wyznaniu poszli na tułactwo. Niemierzyc chwiejąc się między Socyanizmem a Rzymem przeszedł na wyznanie wschodnie i wstąpił w szeregi Zaporożców. Gdy kozaków część, pod Wychowskim, wracała pod panowanie Polski, wysłali kozacy Niemierzyca w poselstwie dla zaprzysiężenia wierności. Mową mianą do sejmu z tego powodu oburzył wszystkich, chciano go ukarać za zdradę. Wtedy jął się czołgać u dworu, prosił o łaskę króla i Zamojskiego, ale kozactwo odpłaciło mu śmiercią jego dwulicowość. —

Z. Kaczkowski rozpocząwszy w kwietniowym zeszycie „rzecz o historyi kobiety“ gdzie się głównie zastanawia nad możnością napisania takiej historyi u nas z czasów Piastów i nad źródłami ku temu, przechodzi w zeszycie majowym losy kobiety u pogańskich Słowian, mianowicie Lechitów. — Wystawia on jaśniejące już wtedy trzy wielkie zalety niewiast lechickich, któremi aż po nasze czasy odszczególniają się Polki: skromność i pobożność dziewic, pokorę i cierpliwość żon popartą miłością macierzyńską dla dzieci, wreszcie rycerkość w razach niebezpieczeństwa.

W. A. Maciejowski podaje nam w zeszycie tym bardzo zajmujący zbiorek legend i pieśni nabożnych. Zebrał je p. Mateusz Gralewski włościanin z Mazewa i spisał po powrocie swoim z Kaukazu osiadłszy między współwłościanami swoimi.

Legendy odznaczają się dramatycznym ruchem i wzniosłością poglądu na życie zagrobowe, w dykcyi naiwność, język zaniedbany, rym przeplatany bezrymowym wierszem i rytm bardzo zmienny. Do najpowabniejszych należy pieśń: O młodej grzesznicy, która tak się zaczyna:

W sobotę po obiedzie
Chodził pan Jezus po kolendzie,

zdybał dziewkę niosącą wodę i zażądał, by mu się napić dała. Dziewka się wymawia że woda nieczysta. Pan Jezus na to:

Dziewko, dziewko
Kiejbyś ty taka była czysta
Jak ta woda przezroczysta.

Wypomina jej że troje „dziatków“ potopiła i każe jej się spowiadać. Dziewka idzie do spowiedzi, tam klęczy i modli się aż się „w proch rozpada“ lecz otož nadjeżdża

— coś za pan
W takiej postaci jak szatan

i wrzucił ją w grób najgłębszy. Na grobie wyrosła mogiła,

Wyrósł na niej róży kwiat
I zapłakał cały świat.
Wyrosła na niej lilija
Zapłakała matka miła,
„Matko miła nie płacz ty mnie
Masz tam w domu jeszcze ich dwie,
Karz je tam lepiej jako mnie,
Boś ty mnie źle karała
W wszelkim grzechu ostała.

Druga o Duszach pod względem formy bardziej wykończona. Dusze grzeszne szukają przytułku i przemawiają kolejno: do cmentarza, kościoła, ziemi, lasu, ognia, wody, obłoku wołając:

— przyjmij ty nas,
Bo Pan Jezus nie wie o nas

ale wszystko im odpowiada:

A wyśta się nie słuchały
W wszelkim grzechuśta ostały.

Więc na piekło wołają i to chce ich przyjąć, ale one się przelękły „tego najstarszego co je pożreć chciał“ przyklękły i wezwały ratunku Najświętszej Panny i ta im wstęp do nieba otwiera. — Podobną jest legenda o „grzesznikach“ która się zaczyna:

O święta Polsko, co słychać o tobie,
Sliczne klejnoty utraciłaś sobie;

ubolewa dalej nad zepsuciem i niekarnością dzieci i niepłodnością ziemi a przypisuje wszystko temu że

— przedtem stary lud brzydził się czartem,
Teraz młode dziatki liczą (klną) tysiącami,
I liczy, liczy, chodzi po ulicy,
Ojciec, matka słyszy, rózgą nie ocwiczy;

ztąd wywodzi że poźniej wstydzi się syn ojca, córka matki, brat brata, siostra siostry jeżeli jedno bogatsze a drugie uboższe, lecz za to po śmierci w piekle się gotują. — Znajduje się jeszcze wiele innych legend i pieśni nabożnych równie prostych i naiwnych, których najcenniejszym charakterem jest przebijająca się polskość ludu tamecznego.

Kronika paryzka zawiera sprawozdania o znanej już z naszego pisma operze ks. Poniatowskiego pod n. Piotr Medyceusz, i pobieżną wiadomość o nowym dramacie Oktawa Feuilleta pod n. Pokusa, której nie powtarzamy zachowując sobie zdać o tem pięknem dziele sprawę przy inszej sposobności.

Najciekawszą jest wiadomość o nowem dziele p. Nisard pod nap. Gladiatorowie. Sąto próbki polemiki średniowiecznej, o których pisze autor „Kroniki" iż radby zacząć od uwagi „że gorsząca epoka literackich załebków minęła bezpowrotnie — ale niestety zbyt częste przykłady w żywe oczy kłamstwo by nam zadały." Są to więc „Gladiatorowie literaccy". Z pośród wielu przytacza Kronikarz przykład polemiki między włoskimi uczonymi Filelfo i Poggio. Filelfo profesor paduański pisze między innemi do Poggia:" Czemuż nie wyrwą ci tego ozora, który nieustannie szarpie i cenzuruje uczciwych ludzi. Błaźnie, powiedz, kto cię wyuczył sztuki potwarczej? Czy to ten cymbał, waryat Niccoli pożycza ci twego żądła? Wszystkich których dekoruje cnota, ty atakujesz piórem... i t. d." Wszystko pisze Filelfo wierszami. Poggio odpowiada prozą: „Z głębokim żalem czytałem, nie satyrę twoją brudną, ale wymioty i t. d. Gdybyś nie był najobrzydliwszym z ludzi, nie lazłbyś jak wieprz w błoto najobrzydliwszych wyrażeń etc." Dotykają nawzajem swoich stosunków prywatnych i publicznych, plwają na siebie, na matki i żony swoje, opowiadają publiczności jeden o drugim najohydniejsze zbrodnie i t. d."

Autor (Nisard) czyni uwagę, że to zepsucie literackie pociągnęło za sobą zepsucie gustu publiczności do tego stopnia, „że wszystkie te podląće naszczekiwania uważane były przez ówczesne społeczeństwo za dowcipne żarciki, niewinne figle", bezeceństwo moralne tej walki (jak je autor nazywa) równa się zdradzie stanu. Jakoż zdrada ta powetowała się upadkiem Włoch. —

Kronika literacka zawiera krytyczny pogląd na Biblioteki Polskiej Turowskiego swieże zeszyty p. Alex. Adamowicza i kilku innych dzieł wpadających w dziedzinę historyi ojczystej i literatury pięknej.

Inne wiadomości są po części już podane.

Rocznice historyczne.

27 Maja 1634 r. Pokój z Moskwą w Wiazmie.

Jednym z najchlubniejszych traktatów, jakie Polska kiedykolwiek zawarła, był pokój z Moskwą w Wiazmie. Jednakowoż chluba tego traktatu nie polega głównie na korzyściach w nim odniesionych, które ograniczyły się właściwie tylko na odzyskaniu praw i własności podstępnie przez nieprzyjaciół wydartych, — lecz polega w zmuszeniu nieprzyjaciół do tego pokoju, w bohaterstwie poprzedniej długiej i krwawej walki. — Już ostatnie lata panowania Zygmunta III nie wzbudzały nadziei nazbyt błogiej przyszłości. Polityczne stosunki Polski uległy w czasie bezkrólewia każdorazowej prawie nowej klęsce kraju — coraz smutniej zagrażającej zmianie. A nowo obrany król Władysław IV Waza, ujrzał się przy wstępie na stary tron lechicki zewsząd groźnemi chmurami otoczony. Bisurmaństwo od południa zagrażało tylekroć już doznanemi klęskami. Naprzeciw od północy łudzili Szwedzi nazbyt dwuznacznemi oświadczeniami przyjaźni, najdotkliwiej zaś dolegała strona wschodnia. Tyle razy za czasów zeszłego króla Zygmunta upokorzona Moskwa, uczuła w sobie właśnie odradzającą się a wrodzoną chęć zaborów. Zwykłe zamięszanie państwa w czasie bezkrólewia, później wstąpienie na tron młodego i niedoświadczonego króla, wywołały nadzieję pomyślnego skutku przedsięwzięcia. Zebrawszy więc przeszło 100.000 dostatecznie uzbrojonego wojska, wysłał z niem car Michał Fedorowicz dwóch najsławniejszych wodzów Michała Borysowicza Sehina i Bazylewicza Prozorowskiego w granice litewskie, któratо pograniczna część kraju, pozbawiona wszelkiej obrony, została wnet przez nich zajętą. Jedyna twierdza Smoleńsk dawała opór stateczny, wytrzymując oblężenie śród niedostatku i trudów.

Wszystko to zmusiło nowego monarchę do przyspieszenia ratunku. Pomimo jednak nieszczędzenia wydatków z własnej szkatuły, mimo usilnych zabiegów i pracy osobistej, zdołał Władysław ledwo jakie takie wojsko ściągnąć do zagrożonego Wilna. Ztąd wyruszyło pod zimę 1663 roku mało co nad 20.000 wynoszące rycerstwo polskie, pod naczelnem dowództwem króla ku Smoleńskowi. Nastały kilkotygodniowe uciążliwe boje. Wreszcie udało się mnogim wysileniom oswobodzić Smoleńsk, i z niesłychaną odwagą obledz obóz przeważnie liczniejszego nieprzyjaciela. Ostra zima i niedostatek nie zdołały przytłumić męztwa Polaków, owszem posunęły się niektóre waleczne oddziały w głąb Moskwy, wywierając zemstę za zdradliwe zerwanie przymierza. W końcu ujrzeli się oblężeni zmuszonymi do kapitulacyi. Równocześnie jakoś nadeszły wiadomości o zwycięztwie hetmana Koniecpolskiego nad Turkami, a przybyłe poselstwo tatarskie domagało się gorliwie przyjacielskich stosunków z rzecząpospolitą. Odgłos tych powodzeń a jeszcze bardziej zbliżenie się Polaków aż pod Wiazmę, niedaleko od Moskwy leżącą, zatrwożyły niewymownie cara. Rozpoczęto rokowania o pokój. Zwycięzki Władysław przyjął propozycyę, a wyznaczeni z obu stron komisarze rozpoczęli układy najpierw w Szemłowo później w Wiazmie.

„Przy pierwszem posiedzeniu komisarzów" — opowiada spółczesny pamiętnik księcia Alberta Radziwiłła — „Moskale z wrodzonego grubiaństwa bez żadnego przywitania zaraz poczęli pretensye swoje i szkody wyliczać. Zgromił ich wnet wojewoda smoleński, Alexander Gąsiewski, grubiaństwo im na oczy wyrzucając. Czem obrażeni Moskale do swarów przyszli. Lecz ich kanclerz koronny poskromił... Zamilkło więc grubiaństwo moskiewskie". Śród podobnych sporów objawili posłowie moskiewscy po raz wtóry dziwaczne żądania. „Czem obruszeni nasi chcieli powstawszy odejść. Bojąc się Moskale, żeby ten kongres daremnie nie spełz, spuściwszy sobie dumę pokorniej poczęli postępować". — Przez wiele dni trwały układy, przerywane to powtórnemi a dziwnie naiwnemi domaganiami się Moskali, to słusznem oburzeniem zwycięzców. Dopiero na dniu 27 maja doszło zaprzysiężenie warunków pokoju, następującej prawie treści. Wszystkie przez Władysława zdobyte lub odebrane ziemie i grody zostały przy Polsce. W granice jej powróciły ziemie Siewierska i Czerniechowska z miastami Siewierskiem, Czerniechowem, Nowogrodem, Baturynem, Nizinem i innemi; dalej prowincya Smoleńska z powiatami i miastami Smoleńskiem, Drohobużem, Wiazmą, Białą, Newelem i Siebieżem, Rosławiem, Staro-

dubem, Głuchowem, Poczapowem, Krasnobrodem i Popową górą, ze wszystkiemi sprzętami wojennemi, dobytkami i prostymi ludźmi w nich się znajdującymi. Za zrzeczenie się (słusznie Władysławowi od roku 1610 przynależnego) tytułu cara Moskiewskiego, i oddanie dyplomu obiorowego, przyrzekają Moskale uszanować tytuł króla jako księcia Smoleńskiego, Siewierskiego i Czerniechowskiego. Przyrzekli dalej, jako car żadnych praw rościć sobie nie będzie do Inflant, Estonii i Kurlandyi, owszem nikogo nie dopuści przez swoje kraje do ich najazdu. Nastąpił potem szereg drobniejszych punktów, jako wolność handlu, oznaczenie granic i t. p. zakończonych zobowiązaniem się Moskwy do wypłacenia pewnej sumy za poniesione koszta wojenne.

Tak w początkach wojny w własnym zagrożony kraju, dyktował w końcu Władysław tymże samym wrogom pod ich stolicą upokarzające warunki pokoju. Odgłos męztwa dzielnego króla powstrzymał kroki drugich nieprzyjaciół, a Polsce otworzył pod jego przywództwem drogę do sławy, do spełnienia historycznego zadania. Świetną jednak nadzieję przyszłości zmącił później dziwny los narodu i króla. Korona i laury wbiły się cierniem w skroń jego, a naród postąpił o krok bliżej nad przepaść....

B. K.

Kronika literacka.

— Ogłosiliśmy niedawno ustęp z tragedyi A. Małeckiego: Jadwiga. Dzien. liter. wydrukował takąż tragedyą J. Szujskiego. W Krakowie napisał tragedyę podobną Franc. Wężyk. Oprócz tych, pisali dramata o Jagielle i Jadwidze następni: Bezimienny X. Pijar w Warszawie r. 1776. — Niemcewicz Ju. Ursyn. (1838). — Majewski Leopold (1824). Szukiewicz Aleksander (1847). Przeździecki Aleks, (1844). X. Łętowski (1856). Jadwiga Łuszczewska miała pisać r. 1855. — Bezimienny w Paryżu 1845 r. Ostrowski Krystyn (po francuzku). Dornheim (r. 1857 po niemiecku). Bezimienny w Paryżu (r. 1849 po francuzku). Aleksander Fabbri wydał r. 1820 w Rzymie osnowę uscenizowaną baletu: *Le avventure della principessa Edvige.*, w którym Kazimierz król polski stara się o rękę Jadwigi córki Giavellona księcia Litewskiego. Nakoniec bezimienny r. 1834. którego dramat Władysław Jagiełło i Jadwiga grano w Krakowie. — Do tego doliczamy operę Chodkiewicza Al. Jagiełło w Tenczynie.

— Tomasz Padura zamieszkały pod Kijowem w ustroni wiejskiej, który tyle lat wieści o sobie żadnej nie dał, nadesłał do Bibl. Warsz. dwa wyjątki z oryginalnego poematu pod n. Podróż Czajld Harolda po Słowiańszczyźnie, wierszem polskim z pierwszej pieśni, z drugiej po rusku z przekładem polskim.

— Stanisław Bratkowski, znany autor teoryi pisania listów wydanych w r. 1829 w Warszawie, ogłosił teraz prenumeratę na nowe wydanie poprawne i powiększone p. n. Rzecz o pisaniu listów dla użytku młodych Polek i szkół żeńskich.

— W Wilnie wydał redaktor Kuryera Wileńskiego w drukarni własnej: 1) Skarbiec dyplomatów papiezkich, cesarskich, królewskich, książęcych do krytycznego wyjaśnienia dziejów Litwy, Rusi Litewskiej i ościennych krajów. Zebrał Ignacy Daniłowicz. Tom I. Z pozgonnych rękopismów wydane. — 2) O Tryptyku J. Kremera i kilka przekładów.

— Encyklopedyi powszechnej, o której niedługo dokładniej zdamy sprawę kończy się druk tomu 3. O ile się zdaje sześć tomów zajmą litery A. B. C. D. zato E. F. G. H. złoży tom jeden i t. d.

— Alexander Tyszyński przygotował rękopism do druku: Książka obiegu dziejów czyli Logika filozofii praktycznej.

Kronika sztuk pięknych.

— Antoni Sokulski rodem z Podgórza w Krakowskiem, od lat młodocianych poświęcał się muzyce, a mianowicie zgłębianiu tajemnic figuralnego spiewu. Roku 1794 przybył do Litwy jako żołnierz. Później pracował jako nauczyciel muzyki w wielu domach litewskich. W Wilnie pomagał profesorowi muzyki przy uniwersytecie wileńskim, Hollandowi, do ułożenia traktatu teoryi muzycznej w języku polskim. Z wielu pozostałych jego kompozycyi szczególną na siebie zwraca uwagę Lamentacya wielkotygodniowa. Ostatnie lata swego życia pracy poświęcił Sokulski zastosowaniu nabytej nauki do układu instrumentów muzycznych, mianowicie skrzypców i altówek, które sam własną ręką wyrabiał. Koło niego skupiali się wszyscy muzycy wileńscy, których wspierał radą, zachęcał do pracy, a w razie choroby i niedostatku z pomocą pieniężną przychodził. Umarł w roku 1840 w 70tym roku życia.

— Aleksander Ładnowski art. dram. utalentowany komik, napisał dla sceny krakowskiej monodram: Berek odpieczętowany. Jest on dopełnieniem znanego Berka zapieczętowanego, który obiegł wszystkie sceny polskie widywany z upodobaniem, nawet wdarł się na scenę niemiecką, grywany w Wiedniu pod nazwą: *Der versiegelte Berek oder der falsche Ładnowski.* Tytuł ten oryginalny dano z powodu, że Ładnowski występując w kompanii Pfeifra w Wiedniu, w tej sztuce, nawet nie znającym języka podobał się z gry. — Pisze on też dramat pod t. Twardowski.– Przypominamy iż Ładnowski jest autorem tych sztuk: Szlachcic z Pokucia monodram. Lokaj za pana monodram. Eudoksya księżna na Klewaniu dram. wier. Icek Polkwicer z Pińczowa komed. Barbara Rusinowska dram. Wiesław syn rozbójnika dram. Dina bogini wesela kom. Kwestarka na pogorzelców Krakowa kom. Filozof z potrzeby kom. Comber babski kom. Żebracy warszawscy dramat. Rzeczpospolita babińska kom. Z tych 15 sztuk, tylko 8. ukazało się na scenie lwowskiej.

Różności.

— A. Syrkin w Wilnie zapowiedział kuchnię i apteczkę narodową, obejmującą 636 przepisów przez... niewiemy jakiego, zapewne narodowego kucharza i aptekarza. Czy też się godzi takich imion na rzeczy takie używać i posługiwać się tak niemi aż do kuchni i apteczki! Przyznajemy się, że to exploatowanie wyrazów i idei, nie od dziś nas oburza....

— Ś p. doktor Marcinkowski zakończył był przed 13 laty życie w Dąbrówce, między Obornikami a Rogoźnem u przyjaciela swego pana Łakomickiego. Stary dwór w którym mieszkał, dziś rozebrano. P. Łakomicki chcąc przecież oddać hołd pamięci zmarłego, zamyśla na tem miejscu wznieść pomnik, którego wykonanie polecić chce jednemu z naszych artystów, podobno dziś we Włoszech przebywającemu.

W tym miesiącu kończy się pierwszy kwartał naszego Pisma. Ci z abonentów naszych, którzy na trzy miesiące prenumerowali, raczą wcześnie nadesłać prenumeratę. Abonenci „Kółka rodzinnego" mogą za dołączeniem do prenumeraty 1 zł. 50 kr. w. a. otrzymać powieść „NA KRESACH" oprawioną w broszurę.

Wydawcy i odpowiedzialni Redaktorowie: *Jan Zacharjasiewicz, Alexander Szedler.* Z prasy pospiesznej E. Winiarza.